

ANTRAKT

TEATRALNIK JUBILEUSZOWY

Rok 2007 N^o3

Gdynia 50 lat Teatru Muzycznego



Nakład limitowany
Egzemplarz bezpłatny

Nic się nie zmieniłeś czyli absolwenci zjechali do Gdyni.



Drodzy czytelnicy. Dzisiaj głos oddajemy Naszej Szkole. Naszej, bo po pierwsze mieści się w murach teatru, a po drugie i najważniejsze większość z nas jest jej absolwentami. Oddajemy głos szkole z nadzieją, że tych kilka relacji zarówno z jej historii jak i bieżących wydarzeń zacieka Was. Okazuje ku temu mamy niebawem, bo oto nastał ten wyjątkowy dzień. Na ten dzień wielu z nas czekało od dawna. Niektórzy od lat.

I oto jest – Pierwszy Zjazd Absolwentów naszej szkoły. Rozsiani po Polsce i Świecie dziś zjeżdżamy do Gdyni, aby w murach szkoły czyli tak naprawdę w murach teatru oddać się wspomnieniom. Ileż to już dyplomów za nami, iluż absolwentów? Wiele z nas pamięta jeszcze stary teatr na Bema. Inni biegali na zajęcia już na Plac Grunwaldzki. Jednak każdy

zachował w pamięci lata spędzone w Gdyni. W zaciszu sal prób dokonywały się kolejne akty narodzin artystycznych osobowości. Korzystał z tego potencjału nie tylko Teatr Muzyczny. Nasi są niemal wszędzie. Na teatralnej mapie Polski gęsto usiały się chorągiewki z symbolem SWA. Dyrektor Korwin od dawna już animuje działania mające na celu oświecenie tego wydarzenia. Nad całością projektu unosi się duch Dyrektora Baduszkowej. Przecież to Ona pragnąc tworzyć nowoczesny teatr muzyczny powołała do życia Studio Wokalno-Aktorskie. Ileż trzeba było determinacji, jakiej ogromnej siły perswazji, żeby przebić się przez ówczesny mur niezrozumienia, a czasami zwykłej indolencji. Dopięła jednak swego. Jak zresztą wszystkiego, za co się wzięła. To dzięki niej dziś się spotykamy. Studio powstało 4 października 1966 roku. Nie posiadało praw oświatowych i tak naprawdę było „prywatną” szkołą Teatru Muzycznego. Adepti nie posiadali legitymacji i indeksów, a po zaśpiewaniu dyplomowego recitalu i zagranie spektaklu przed powołaną przez Ministra Kultury komisją otrzymywali (albo i nie) weryfikacje zawodowe.

Jednak pomimo tych „niedogodności”kandydatów na adeptów Studia nie brakowało. Rok rocznie do egzaminów wstępnych przystępowało dwieście kilkadziesiąt osób. Przyjmowano kilkanaście (czasem dwudziestu kilku). Szkołę kończyli najlepsi. Dziś na zjeździe witamy wszystkich. I tych, którzy wytrwali do dyplomu i tych, których losy potoczyły się inaczej, a nasza szkoła była zaledwie przystankiem w ich drodze. Mamy nadzieję, że znaczącym. A kiedy już skończy się bal i powrócimy do swoich światów, pewnie nie raz zateśnimy do tego spotkania. Podtrzymujcie więc na nowo nawiązane kontakty. I miejmy nadzieję, że oto zapoczątkowaliśmy razem nową tradycję jubileuszowych zjazdów absolwentów. Dziś witając Was, drodzy koledzy na I Zjeździe zapraszam do lektury naszego Teatralnika. Może gdzieś wśród tych liter skrył się także i Wasz skrawek życia. Natomiast wszystkim widzom życzę niezapomnianych wrażeń w antrakcie z Antraktem.

Jacek Wester

„Niech no tylko zakwitną...”

ROK V, VI, VII, VIII, IX.....

Szkoła. To już tylko wspomnienie. Pora potwierdzić swój przyjazd na I Zjazd Absolwentów. Studio, Studium.... Podobno będą sprawdzać listy obecności. Podobno obecność obowiązkowa, bo w przeciwnym razie nie zdam egzaminu z... Koledzy by mi tego nie wybaczyli. Muszę przyjechać. To już tyle lat? To niemożliwe. Myślę o dokonaniach, osiągnięciach. Czy będzie się czym chwalić? Ale właściwie czy to takie ważne? Chcę ich zobaczyć. Pogadamy, napijemy się wódki, powspominamy. Może nawet będzie tak jak kiedyś. Chociaż kiedyś było zupełnie inaczej. Było inaczej, bo my byliśmy inni. Mieliliśmy wtedy po dwadzieścia kilka lat. Tak samo jak Oni teraz. ...Inaczej? ...Tak samo.

Czyt. str. 7

LUDZIE ZZA KULIS

Nigdzie się nie wybieram

Z **Zofią Lewkowicz** - wieloletnią sekretarką w Studium Wokalno-Aktorskim im. D. Baduszkowej rozmawia **Jacek Wester**.

Jacek Wester - Zosi, chciałbym z tobą porozmawiać o twojej pracy. Jak to było, tak od początku...

Zofia Lewkowicz - O jej, akurat dzisiaj. Tyle pracy na mnie czeka, tyle zaległości... Wiesz przecież, że byłam na zwolnieniu lekarskim.

J.W. - Tak wiem. Mam nadzieję, że z kręgosłupem jest już dobrze? Długo cię nie było, a ja specjalnie czekałem na ciebie, bo przecież jesteś najważniejszą osobą pośród „ludzi zza kulis” naszej szkoły. Pracujesz tu już tyle lat. Na pewno możesz opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy naszym czytelnikom. Szykujemy się do zjazdu absolwentów. Oni też chętnie to przeczytają.

Z.L. - No tak. Trudno. Zaległości muszą poczekać. Zatem pytaj.

J.W. - Ile to już twoich lat w studio?

Z.L. - Do teatru przyszedłam 16 lipca 1979 roku. To było jeszcze na Bema. Pracowałam w administracji. Teatr się już powoli przeprowadzał na plac Grunwaldzki. Często kursowałam między nowym a starym teatrem, gdy było coś do załatwienia. Nic dziwnego, byłam najmłodsza. Otwarcie nowej siedziby było 8 grudnia (premiera Krakowiaków i Górali). To było huczne otwarcie. Ale administracja przeprowadziła się dopiero w styczniu 80 roku.

Czyt. str. 3

KONKURS

„Tego nigdy nie zapomnę
- wspomnienie z Teatru Muzycznego”

Konkurs odbywać się będzie w 2 kategoriach wiekowych:

- I kategoria - młodzież szkolna (szkoły podstawowe, gimnazjalne i średnie)
- II kategoria - dorośli.

Prace należy nadsyłać na adres teatru lub e-mail: teatr@muzyczny.org
Przez cały sezon teatralny do 15 maja 2008 r z dopiskiem „konkurs”.
Najlepsze prace będą publikowane w kolejnych numerach naszej gazety.

Liczymy zwłaszcza na wspomnienia naszych starszych widzów. Tych, którzy być może pamiętają pierwsze sezony pracy naszego teatru. Prace te mogą być szczególnie cenne ze względów archiwalnych i dokumentalnych. Ale zachęcamy również młodzież do chwycenia za pióro. Może warto opisać własną przygodę w teatrze, a może ktoś z Was opíše wspomnienia rodziców albo dziadków? Może w zbiorach rodzinnych znajdziecie ciekawe zdjęcia związane z tematem konkursu? Pomyślcie o tym, bo naprawdę warto. Nagrody będą bardzo atrakcyjne...



Maciej Kamiński
Tradycja dwojgiem załatwiana

Muzyka:	Maciej KAMIENSKI
Libretto:	Franciszek ZABŁOCKI
Opracowanie muzyczne:	Mieczysław KRZYŃSKI
Inscenizacja:	Andrzej SZALAŃSKI i Feliks PARNELL
Reżyseria:	Andrzej SZALAŃSKI
Choreografia:	Feliks PARNELL
Scenografia:	Antoni UNIECHOWSKI
Asystent reżysera:	Marian RAJSKI
Asystent choreografa:	Jerzy WASŁOWSKI
Asystent scenografa:	Kazimierz GAC
Korepetytorzy:	Urszula EKIERT, Elżbieta ŚLIWOWSKA

Karol Kurpiński

„Człowiek” czyli Nimfy jeziora „Gopla”
Karol KURPIŃSKI
Tekst na podstawie szkiców i notatek
Opracowała: Al. ŻÓŁKOWSKIEGO
Stanisława FLESZAROWA -MUSKAT

Opracowanie muzyczne:	Mieczysław KRZYŃSKI
Inscenizacja:	Andrzej SZALAŃSKI i Feliks PARNELL
Reżyseria:	Andrzej SZALAŃSKI
Choreografia:	Feliks PARNELL
Scenografia:	Antoni UNIECHOWSKI
Asystent reżysera:	Marian RAJSKI
Asystent choreografa:	Jerzy WASŁOWSKI
Asystent scenografa:	Kazimierz GAC
Kierownik chóru:	Janina TYLEWSKA
Korepetytorzy:	Urszula EKIERT, Elżbieta ŚLIWOWSKA

Dwa kroki za...

Szanowni Państwo. Kiedy poproszono mnie, bym w krótkim, wspominkowym wystąpieniu odniosła się do tych lat, w których na teatralnym firmamencie, dziś cokolwiek skołatany, lśniła gwiazda pierwszej jasności osobowość Danuty Baduszkowej, zaczęłam w myślach układać pierwsze słowa moich wspomnień i niczego lepszego nie wymyśliłam, jak zawołany nieci incipit: dwa kroki za.

W ciągu kilkuletniego mojego dreptania i krzataniny po studyjnym podwórku, za panowania mojej wielkiej Szefowej, nie było ani jednego dnia, który przebiegałby nudno, monotennie, szablonowo i beznadziejnie. Przynajmniej dla mnie. Źródłem nieustannego napiecia, ekscytacji niemal, było Studio. I jeśli tylko ja chodziłam jak naelektryzowana, podniecona i ogromnie przejęta, a w całym teatrze było tak, jak w innych teatrach: raz tak, a raz... tak sobie, czyż istnienie STUDIA nie usprawiedliwiała mojego nadzwyczajnego otumanienia? Czyż bowiem w każdym teatrze jest Studio? Wydawało mi się wówczas, że pepkiem świata, do którego wpłynęłam po dwóch tygodniach namysłu i walki z własnym tchórzostwem, jest Studio, a trochę w bok od niego- Teatr Muzyczny w Gdyni. Oto dwie osie współrzędne: teatr i studio, a w punkcie przecięcia ONA. Puls, rytm, oddech (niekiedy przyśpieszony), adrenalina dla całej struktury teatralnej. Obecna od zwyczajowych godzin pracy do rozpoczęcia wieczornego spektaklu, a często i po nim.

Czyt. str. 4

Z ostatniej chwili.

Z inicjatywy redakcji Teatralnika Jubileuszowego ANTRAKT zespół Teatru Muzycznego im. D.Baduszkowej w Gdyni wystąpił do Komisji Statutowej Rady Miasta o nadanie nazwy jednej z gdyńskich ulic. Pragniemy, aby w naszym mieście pojawiła się ulica Danuty Baduszkowej. Wieloletnia dyrektor naszej sceny oraz patronka teatru muzycznego oddała ostatnie lata swojej działalności gdyńskiemu teatrowi przyczyniając się niewątpliwie do rozśławiania Gdyni. Udowodniła, że Gdynia to nie tylko port, stocznia i gospodarka morska, ale również znaczący punkt na kulturalnej mapie Polski. Liczymy, że naszą inicjatywę poprze również wierna publiczność. Listę poparcia można podpisywać na foyer teatru w czasie antraktu. Okażmy swoją wdzięczność tej, która wybrała Gdynię jako miasto wyjątkowe, sprzyjające nowatorskim projektom i oddała jej swoje najbardziej twórcze lata.

Jacek Wester



TEATR MUZYCZNY GDYNIA

Skrócona Historia Studium Wokalno-Aktorskiego Przy Teatrze Muzycznym w Gdyni

Powstanie Studium Wokalno-Aktorskiego przy Teatrze Muzycznym w Gdyni

W 1966 roku Danuta Baduszkowa otworzyła szkoleniowe Studium Wokalno-Aktorskie przy Teatrze Muzycznym w Gdyni. Tym samym stała się kontynuatorką tradycji kształcenia młodzieży przy teatrze. Zadaniem Studium stało się wychowanie i wykształcenie aktora dla potrzeb scen muzycznych. Wraz z dniem 4 października 1966 roku rozpoczęto naukę w Studium. Początkowo Studium nie posiadało praw oświatowych, dlatego też pozbawione było atrybutów w postaci legitymacji, indeksów, dyplomów. W toku roku szkolnego nie uwzględniano okresu ferii. Zarówno program nauczania, jak i praktyczne zajęcia na scenie realizowane były przy udziale reżysera, dyrygenta, scenografa, choreografa, chórmistrza. Studium stanowiło organiczną część teatru, dlatego też plan jego zajęć ściśle był związany z planem pracy teatru.

Pedagodzy

Pierwszymi pedagogami Studium byli: Andrzej Szalawski, Halina Mickiewiczówna, Wanda Obniska, Kazimierz Łastawiecki, Janusz Krassowski, Bogusław Chojnicki, Zofia Janukowicz Pobłocka. Odpowiedzialną za funkcjonowanie Studium była dyrektorka Danuta Baduszkowa oraz kolejni kierownicy. Pierwszym był warszawski krytyk muzyczny Stefan Wysocki, syn Taczanny Wysockiej, słynnej tancerki, choreografki, która sprawowała funkcję konsultanta w Studium. Brała także udział przy egzaminach i realizacji spektakli premierowych, służąc doświadczeniem i radą. Następnie funkcję organizatora pracy pełnił Edward Kunze, zaś po nim Bogumiła Toczyska, pedagog dykcji, związana ze sceną teatru Lalkowego „Miniatura”. Baduszkowa doбираła pedagogów o wysokich kwalifikacjach zawodowych i Pedagogicznych. Do grona pedagogów dołączyli wybitni artyści scen operowych, dramatycznych, nauczyciele szkół muzycznych, m.in.: Krystyna Ingersleben-Borowska, Zofia Czepielówna, Longina Kozikowska, Henryk Bista, Ali Bunsch, Zbigniew Bogdański, Barbara Gorzkowska, Zenon Bester, Teresa Kaczyńska, Waldemar Fogiel, Zygmunt Kamiński, Urszula Mordzewska, Józef Muszyński, Jan Tomaszewski, Alina Udymowska, Alicja Legieć-Matosiuk, Ryszard Ronczewski, Przemysław Śliwa, Anna Niewiarowicz. **Pierwsze spektakle.** Po dwóch latach nauki, Studium własnymi siłami wystawiło pierwsze spektakle: „Tradycje dowcipem załatwioną” i „Czaromysł, czyli nimfy jeziora Gopło”. Oba spektakle zostały włączone do repertuaru teatru. Prasa oceniała nader pozytywnie zarówno spektakl jak i samą grę debiutujących adeptów. Tradycja dowcipem załatwioną reżyseria: Andrzej Szalawski, muzyką: Maciej Kamiński, libretto: Franciszek Zabłocki opracowanie muzyczne: Mieczysław Krzyński choreografia: Feliks Parnell, scenografia: Antoni Uniechowski, Czaromysł, czyli nimfy jeziora Gopło, reżyseria: Andrzej Szalawski muzyka: Karol Karpiński, libretto: Stanisława Fleszarowa-Muskat, opracowanie muzyczne: Mieczysław Krzyński, choreografia: Feliks Parnell, scenografia: Antoni Uniechowski. Rok później, jako prace dyplomową, zrealizowano sceniczną operetkę Stanisława Moniuszki „Nocleg w Apeninach” (libretto Aleksander Fredro, reżyseria Danuta Baduszkowa, kierownictwo muzyczne Mieczysław Krzyński, scenografia Marcin Szancer). W 1972 roku włączono do repertuaru teatru widowisko słowno-muzyczne „Polonica” z muzyką Stanisława Moniuszki. W owym czasie zapraszano do

pracy w kształceniu adeptów, na tak zw. spotkania „roboczo-praktyczne”, artystów tej miary, co Adam Hanuszkiewicz, Zbigniew Zapasiewicz, Gustaw Holoubek, Lech Terpiłowski, prof. J. Adamski, J. Waldorff, S. Pietras, A. Bardini.

Warunki pracy w Studium

Dzień pracy w Studium zwykle rozpoczynał się zajęciami o godz. 8-mej, kończył zaś spektaklem o 22-giej. Obejmował cały tydzień, włącznie z niedzielami. Szczególnie uciążliwy, dla osób niezamieszkujących Trójmiasta, był okres długich lat do wybudowania Domu Aktora. Dodatkowych trudności przysparzał brak sal do ćwiczeń, konieczność prowadzenia zajęć w garderobach i przypadkowych pomieszczeniach w czasie, gdy siedziba teatru mieściła się przy ulicy Bema. Pomimo tego Studium odnosiło szybkie sukcesy. Absolwenci znajdowali zatrudnienie zarówno na deskach samego Teatru Muzycznego, jak i innych scenach muzycznych czy teatrach dramatycznych. Statystyki pokazują, że w pierwszym 10-leciu co 4 absolwent Studium opuszczał Wybrzeże. Jednocześnie wykształciła się wówczas silna grupa utalentowanych artystów doskonale sprawdzających się na scenie Teatru Muzycznego. **Walka o status i przetrwanie Studium.** Przez cały czas toczyły się zmagania o przetrwanie i status, nadanie odpowiedniego kształtu organizacyjno-administracyjnego Studium.

Gdyni w usytuowany tu odrębny wydział Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. W uzasadnieniu podkreślała, że absolwenci obecnego Studium zasilają zarówno gdyńskie, jak i inne sceny teatrów muzycznych w Polsce. Pozwala na to wypracowany program nauczania, który umożliwia realizację współczesnych pozycji repertuarowych. Merytoryczne i formalne powiązanie z PWST miało pozwolić na osiągnięcie odpowiedniego poziomu artystycznego, przy jednocześnie pełnej funkcji edukacyjnej teatru.

Studium w prasie

„Miło odnotować na scenie adeptów Studia, nie tylko ich młodość, ale i talent” (Ewa Moskalówna, prasa codzienna) „Studio to stanowi w naszym życiu teatralnym zjawisko unikalne(...) Stawianie na młodzież stanowi tendencję właściwą, dowiodły tego choćby ostatnie realizacje sceniczne teatru(...) ci młodzi po prostu umieją poruszać się na scenie, mówić tekst, śpiewać, tańczyć. Widać, że przeszli dobrą, wszechstronną szkołę”. (Andrzej Kiszkis „czas” 31.VII.1977r.) Drugie dziesięciolecie otworzyła premiera „Zielonego gila” Tirso da Moliny (1977r.),

jednego z trzech repren-tatywnych pisarzy

lat 70 i 80-tych do grona pedagogów dołączyli m.in. Danuta Dunin-Wąsowicz, Jerzy Sidorowicz, Irena Olszewska, Lucja Sobczak, Wiesława Anczykowska-Wysocka, Janina Karczewska, Barbara Sanejsko, Urszula Ekiert, Zbigniew Kosmański, Urszula Wojtaszyczek, Ryszard Ziółkowski, Grzegorz Chrapkiewicz, Wiesław Chojnacki, Andrzej Pieczyński, Jerzy Partyka, Izabela Jaworska, Kazimierz Zaklukiewicz. W późniejszym okresie również Bożena Porzyńska, Hanna Bartoszyńska, Teresa Świercz, Adriana Barska, Aleksandra Bieg-Piaseczna, Maria Gasik, Andrzej Kosecki, Urszula Szerszeń-Małecka, Andrzej Bujak, Bernard Szyk, Jacek Wester, Joanna Semeńczuk.

W latach 1980-1990 Studio prowadzone było kolejno przez Andrzeja Szymanika (1980-81), Marka Hassa (1981-82), Alinę Udymowską (1982-88) oraz Czesława Kuczynskiego (1988-90).

Nowy kształt Studium

Dzięki staraniom A. Udymowskiej przy teatralne Studio Wokalno-Aktorskie otrzymało nowy kształt. Uległo przekształceniu w Policealne Studium Zawodowe Wokalno-Aktorskie (1.IX.1986 r.). Nauka jednak, podobnie jak w innych tego typu placówkach oświatowych, została ograniczona do okresu 2,5 lat. Niestety tak krótki czas nauki nie pozwalał na satysfakcjonujące przygotowanie do zawodu. Od września 1986 roku przyjmowano słuchaczy według nowych zasad. Natomiast roczniki przyjęte w 1983, 84,85 roku kończyły naukę starym trybem, czyli w studiu przy teatralnym weryfikację MKiS.

Tu na II piętrze mieści się nasza szkoła

W 1972 roku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku wystosowało do Ministerstwa Kultury i Sztuki w Warszawie pismo, które stanowiło projekt założeń programowych Studia, mającego z dniem 1.X.1972 roku funkcjonować pod nazwą: Studium Aktorskie Teatrów Muzycznych. Kandydaci do Studium winni byli legitymować się średnim wykształceniem, wiekiem dla kobiet do 25 lat, dla mężczyzn do 30 lat oraz zdany egzaminem. Czteroletni okres nauki w systemie stacjonarnym dawałby kwalifikacje zawodowe na poziomie wyższych studiów (bez tytułu magistra) i uprawniał do wykonywania zawodu aktora w teatrach muzycznych. W okresie edukacyjnym słuchacze Studium mieli być etatowymi pracownikami artystycznymi chóru Teatru Muzycznego w Gdyni. Studium Podlegałoby Ministerstwu Kultury i Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Gdańsku. Słuchaczy obowiązywałby udział w wykładach, jak i uczestnictwo w próbach indywidualnych i zespołowych, widowiskach teatralnych. Ważnym elementem byłoby przygotowanie roli na egzamin. Kierowanie pracą Studium następowałoby przy udziale Rady Pedagogicznej oraz kierownictwa artystycznego i administracyjno-finansowego Teatru Muzycznego. Danuta Baduszkowa postulowała dalej idący model przekształceń. Proponowała, aby Rada Wyższego Szkolnictwa Artystycznego przy MKiS dokonała przekształcenia (planowanego) Studium Aktorskiego Teatrów Muzycznych przy Teatrze Muzycznym w

hiszpańskich obok Lope de Vega i Calderona, uważanego za pisarza znakomicie znającego psychikę ludzką. W przedstawieniu zaprezentowali się absolwenci, m.in. Irena Pająk, Lech Wierzbowski, Izabela Schütz, Krzysztof Kolba, Maciej Dunał. **„Testament” Baduszkowej.** 15.XII.1978 roku zmarła Danuta Baduszkowa. „Dziennik Bałtycki” przytoczył kilka jej wypowiedzi, które stały się niejako testamentem dla jej następców. „ze względu na rosnące zapotrzebowanie na muzykę i śpiew w teatrze dramatycznym, a na słowo w teatrze muzycznym, trzeba by zmienić program szkolenia aktorskiego. Stąd mój pomysł założenia przy teatrze 4-letniej szkoły, którą prowadzę od dziesięciu lat („Pomerania”, czerwiec 1977). /.../ dla nowego teatru potrzebny jest wszechstronny wykonawca, który musi być aktorem tańczący, i śpiewającym, dlatego stworzyliśmy przy TM w Gdyni Studio na potrzeby nowego zespołu („Kurier Polski”, marzec 1972). „to, co jest dobre dziś, nie może i nie powinno obowiązywać jutro. Teatr, jak wszystko musi być w ruchu, powinien nieustannie poszukiwać, nadać za współczesnością(...) Staram się modernizować swe poglądy, dlatego też zmienia się mój teatr. Pomaga mi w tym młodzież, uczniowie Studia przy teatralnego. Od nich się uczę, podsluchuję, podpatruję.(„Express Wieczorny, lipiec 1977). **Zmiany w gronie pedagogów.** Na przełomie

Do 1989 roku osobom kończącym naukę przyznawano przez MKiS weryfikację. Natomiast od lutego 1989 roku wydawano dyplomy ukończenia szkoły. Policealne Studium zakończyło swa działalność z dniem 31 stycznia 1991 roku. Powrócono, więc do poprzednich zasad, pozostawiając w nazwie „studium”. Niewątpliwie optymistycznym i podniosłym akcentem roku 1986 było nadanie tej szkole patronatu Danuty Baduszkowej (15.X.1986r.), dwadzieścia lat od momentu utworzenia przez nią tej placówki. W latach 1990-93 dyrektor Teatru Muzycznego Jerzy Gruza sprawował jednocześnie funkcję szefa Studium. W owym czasie ważną rolę w życiu szkoły pełnił Ryszard Ziółkowski, który, od dyrektora Gruzy otrzymał szerokie pełnomocnictwo jako kierownik działu nauczania sprawował funkcję dyrektora do spraw edukacyjnych. Od 1990 roku pełni funkcję wicedyrektora Studium Wokalno-Aktorskiego.

Starania dyrekcji spowodowały przywrócenie Studium stanu poprzedniego, a więc ścisłą integrację z substancją Teatru Muzycznego i wprowadzenie Studium do statusu TM. Przywrócono w Studium też 4-letni okres nauczania. W maju 1994 roku powołano na stanowisko dyrektora Studium Henryka Rozena, dwa lata później Macieja Korwina.

/Materiał zaczerpnięty ze strony internetowej Studium Wokalno-Aktorskiego im. D. Baduszkowej w Gdyni/



Postanowiłem przemóc swoje lenistwo i skrobnąć parę słów w związku z jubileuszem Studia Teatru Muzycznego. Dlaczego? Może ze względu na wieloletni staż pracy, a może chciałbym odrobić zaistnieć, objawić się nie tylko jako grajak :-)

Trafiłem do Teatru Muzycznego w Gdyni w sierpniu 1980 roku. Jak wszyscy zapewne pamiętają, w tym czasie Lech Wałęsa podpisywał z Mieczysławem Jagielskim porozumienie o powstaniu Związku Zawodowego "Solidarność". W kraju było spore zamieszanie. Strajki i niepokoje sprawiły, że autobusy nie kursowały, a ja musiałem chodzić z Witomina - gdzie zamieszkiwałem z rodzicami - do teatru pieszo. Dostałem się do Studia Wokalno-Aktorskiego jako wolny słuchacz z obowiązkiem śpiewania w zespole wokalnym i pensją 2 300,- złotych. Radość moja była wielka. Ja - absolwent szkoły rolniczej w Rzucewie - a więc rolnik - wpadłem w ramiona sztuki. Pamiętam pierwsze próby chóru i ogromne wrażenie jakie na mnie wywarły. Chór wraz ze słuchaczami Studia liczył wówczas około 60 osób plus soliści w dużej liczbie. Boże! Jak to całe zgromadzenie ryknęło - a dźwięk w owym czasie lokowano bardziej "na masce" niż obecnie - byłem w siódmym niebie. Dwa tygodnie później latałem już na scenie cały szczęśliwy w stroju

Wspomnienia muzykanta czyli jak to drzewiej bywało

Krakowiaka wraz z tłumem innych Krakowiaków i Górali - jak mi się wydawało - równie szczęśliwych. Albo "Słowik" Ernesta Brylla z piękną muzyką Piotra Hertla. To było wielkie przeżycie, nie mówiąc już o "Koleędzie nocce". Po prostu byłem oczarowany.

Jakie było wówczas Studio? Jak zawsze zwariowane. Od świtu do nocy zajęcia. Chciałbym w tym miejscu wspomnieć parę wielkich osobowości, indywidualności pracujących wówczas. Takim człowiekiem była między innymi pani Danuta Dunin-Wąsowicz, nieżyjąca już starsza pani ucząca stepu. Codziennie o ósmej rano można było usłyszeć jej kroki dzięki blachom, którymi były podbite jej srebrne buciki. Będąc niedoszłym słuchaczem I roku zacząłem nieśmiało akompaniować do tańca na zajęciach pani profesor jednocześnie stukając podczas grania również w podkutych butach. Podobno byłem zdolny. Pozwolę sobie przytoczyć jeden z tekstów pani profesor, który budził niemałe zażenowanie wśród nowo przybyłych studentów, cytuję: "chłopaku, wyjmij te ręce z kieszeni, bo ci ch... paznokcie poobgryza". Kochali ją wszyscy, bo był to złoty człowiek oddany bez reszty swojej pracy - pasji. Ustawiała setki układów tanecznych oczywiście zawsze z erotycznym podtekstem. Jak zacząłem pracować, już później jako akompaniator, kończyliśmy zajęcia o 9.30 rano zestawem śniadaniowym, a było to pół litra gorzały i soczek, ale zawsze osobno w szklankach, z klasą. Często my plus Zosia.

Uczył wówczas w Studio znany, ceniony i popularny aktor pan Henryk Bista. Akompaniując na zajęciach aktorskich mogłem podziwiać kunszt pedagogiczny tego świetnego aktora, a także jego błyszczące, szkliste spojrzenie utkwione w uroczę i bardzo ładnej studentce - Ewie Gierlińskiej. Z drugiej strony grymas zazdrości żony pana Henryka, pani profesor Urszuli Mordzewskiej, która uczyła prozy - a może mi się wydawało. Wiersza uczyła wówczas pani Teresa Lasota czytając nam studentom "Pana Tadeusza"

tak pięknie i tak prawdziwie, że dech zapierało. Wspomniał pedagogiem śpiewu była pani profesor Halina Mickiewiczówna, niezwykle silna osobowość pełna dowcipu i temperamentu.

W tamtym czasie na scenie wystawiane były operetki. Musical jako forma dopiero się rodził - przynajmniej w Polsce - a o mikroportach nikt nawet nie słyszał. Aby być słyszalnym na dużej scenie trzeba było śpiewać przy pomocy własnych, dobrze ustawionych rezonatorów.

Gdy zdawałem do Studia akompaniowała mi pani Urszula Ekiert, człowiek tak niezwykle, kolorowy i niekonwencjonalny w swoich zachowaniach, że należałoby poświęcić jej osobne wypracowanie (szukaj w numerze - przyp. red.). Wraz ze wspomnianą przeze mnie wcześniej panią Dunin-Wąsowicz stanowiły bardzo oryginalną i nie zapomnianą parę.

Kończąc chciałbym przypomnieć kilka postaci uczących się studentów w naszej szkole. Wypadałoby wymienić nazwiska wielu absolwentów pracujących do dnia dzisiejszego w teatrach nie tylko muzycznych. Ograniczę się tylko do dwóch osób przepraszając pozostałe. Ale nie do mnie należy wymienianie wszystkich zdolnych absolwentów Studia odnoszących sukcesy artystyczne. We wrześniu 1980 roku zetknąłem się w Studio z młodym, przystojnym kolegą, który przyszedł do szkoły prosto ze służby wojskowej, jeszcze przez chwilę w mundurze - piękny. Był on wtedy studentem II roku. Dzięki wielkiej pracy i ambicjom i temu, że nadeszła fala musicalu do teatru osiągnął moim zdaniem wielki sukces. Główna rola w "Jesus Christ Superstar", "Nędznikach" i chyba życiowa rola w "Scrooge" oraz wiele mniejszych, równie udanych stawiają moim zdaniem Andrzeja na najwyższym podium. Poza tym, jako jeden z nielicznych dochował wierności Teatrowi Muzycznemu w Gdyni. Druga osoba, o której chciałbym wspomnieć, pojawiła się w Studio 1985 roku. pojawiła się w Studio 1985 roku. Ten młody człowiek zapragnął kształcić się w gdyńskim Studio.

Nie znał słowa po polsku, był Niemcem a przyjechał z Moskwy ze słynnego teatru Na Tagance. Uczył się u najlepszych ówczesnych pedagogów. Śpiewu u wyżej wspomnianej pani profesor Mickiewiczówny, aktorstwa u profesora Bisty, z tańcem nie było łatwo (Prof. Dunin-Wąsowicz, prof. Sidorowicz). Ukończył szkołę i założył własny teatr w 1989 r. o nazwie Atelier, a pierwszymi aktorami zostali jego koledzy, absolwenci naszej szkoły. W latach 90-tych Teatr Atelier odwiedzała często pani Agnieszka Osiecka, a po jej śmierci nadano teatrowi jej imię. Andre jest do dziś jego dyrektorem, reżyserem a także wykonawcą piosenek i pieśni żydowskich. Oba wymienionych Andrzejów poza imieniem i sztuką niewiele łączy.

Na koniec dodam tylko, że wielu absolwentów Studia z powodzeniem zasila teatry w całej Polsce. A są też Tacy jak Jacek Wester, Bernard Szyc, Bogdan Smagack, którzy przejechali pałeczkę po swoich nauczycielach.

muzykant knajpowo-kotletowo-estradowy plus akompaniator (nieraz teatralny) Zbyszek Kosmański



Danuta Dunin-Wąsowicz
Kochali ją wszyscy...



Zofia Lewkowicz

LUDZIE ZZA KULIS Nigdzie się nie wybieram

Dok. ze str. 1

J.W. - A kiedy trafiłaś do Studia?

Z.L. - Zanim trafiłam do Studia to poznałam mojego Grześka. On też z uczył się w naszym Studio, zanim poszedł do Akademii Muzycznej do Gdańska. Byłam już z Grzegorzem, gdy kierownikiem Studia został Marek Hass, kolega Grzegorza i również nasz absolwent. On potrzebował kogoś do pomocy, kto zająłby się całą stroną administracyjną oraz problemami adeptów. Studio w tamtych latach było częścią teatru. Zarówno pedagogów jak i adeptów zatrudniał teatr. To była nasza teatralna szkoła - taka jakby na wpół prywatna. Na początku pracowałam na dole zajmując się sprawami zarówno teatru jak i Studia. A od grudnia 80 roku przeszłam na górę, na drugie piętro już tylko do Studia.

J.W. - Grudzień 80 to przecież Koleđa Nocka. A za rok wprowadzono stan wojenny. Jak ten okres odbił się na pracy szkoły?

Z.L. - Koleđa Nocka była wielkim wydarzeniem. O tym przedstawieniu mówiła cała Polska, a pamiętajmy, że to jeszcze były czasy cenzury. Gdy przyszedł stan wojenny zdjęto przedstawienia w teatrze, no i w szkole zajęcia oficjalnie zostały zawieszone. Oficjalnie, ale wiadomo, że w tamtych czasach wiele rzeczy robiło się nieoficjalnie. No więc na zajęcia, oprócz miejscowych pedagogów, przyjeżdżała Małgorzata Treutler z wykładami o kostiumie i scenografii, przyjeżdżał reżyser Maciej Prus i ,co tu dużo gadać, Studio pracowało. W stanie wojennym teatr ze względu na wcześniejszą Koleđę Nockę był pod specjalną „opieką” panów komisarzy wojskowych.

Pamiętam jak pewnej nocy przyjechali po mnie i zabrali mnie do urzędu na wyjaśnienia, dlaczego do studia przyjeżdżają wykładowcy. Marka Hassa nie mogli znaleźć, no to mnie zgarnęli. Jakoś to tam wytłumaczyłam, że brak łączności, że nie wiedzieli o zawieszeniu zajęć i nic nikomu się nie stało.

J.W. - No a potem...

.... przepraszam, Zosiu, czy mogłabyś podpisać mi tylko tę listę? - do pokoju wchodzi nasza księgowa. Główna, najgłośniejsza Beata Białk. Musimy przerwać na chwilę. Są ważniejsze sprawy. Maszyna szkolna musi działać. - Pani Zosiu, czy ja mógłbym prosić o wystawienie zaświadczenia? Moja mama potrzebuje do pracy. - Kochanie, przyjdź za pół godziny. Teraz akurat udzielam wywiadu. - Aaa... to ok studentka pierwszego roku wycofuje się dyskretnie. Nazywamy ich studentami, bo choć to tylko studium, to jednak uczą się cztery lata, jak w każdej PWST i nawet mają indeksy. Pracują ciężko od rana do nocy. A przecież to najpiękniejszy ich czas. Też by chcieli pójść potańczyć. Napić się piwa - jak inni studenci. A tu jeszcze scena nie gotowa, wiersz nienauczony, układ ze stepu "w lesie", trzeba jeszcze tyle przeczytać, tyle się nauczyć, tyle przepróbować... Nasi studenci....

J.W. - No więc jak było potem? Czy to już nastały czasy pani Aliny Udmowskiej?

Z.L. - Tak. Marek Hass na długie lata objął dyrekcję teatru w Olsztynie. Kierownikiem w 1982 roku została Pani Udmowska. O, to duży rozdział w historii tej szkoły. Wszyscy się jej bali. Budziła respekt swoją posturą, srogim wzrokiem zza okularów i niskim, chropowatym głosem. Ale tak naprawdę była człowiekiem o gołęmb sercu. Lubiła naszych studentów. Czasem musiała coś tam im nagadać jak przychodziły skargi od kierowniczk Hotelu Aktora. Ale zawsze stawała w obronie młodzieży. - Młodość ma swoje prawa - mówiła. Ale jedno też trzeba jej oddać. Umiała trzymać dyscyplinę. Frekwencja, postępy w nauce i rozwój artystycznych umiejętności to były jej priorytety.

J.W. - Ja pojawiłem się w szkole właśnie w okresie kierownictwa Pani Aliny. Pamiętam moment upaństwowienia szkoły. Emocje sięgały zenitu.

Z.L. - No i nic dziwnego. Wy byliście przyjęci do szkoły czteroletniej a Studium po upaństwowieniu stało się szkołą 2,5 letnią. Oczywiście ci przyjęci wcześniej kończyli starym trybem. Szkołę upaństwowiono w 1986 roku. W maju 1988 roku był Jacku twój dyplom, następnie w styczniu 1989 był pierwszy dyplom państwowej szkoły, a w maju 1989 ostatni dyplom Studia przed powołaną przez Ministra Kultury Komisją Weryfikacyjną. Czyli w jednym roku szkolnym mieliśmy dwa dyplomy - w styczniu i w maju. Szkoła 2,5 letnia nie utrzymała się długo.

Po dwóch czy trzech latach powrócono do czteroletniego cyklu kształcenia. I choć system szkolnictwa nie przewidywał takiej formy to jednak nam pozwolono na taki eksperyment.

J.W. - Komisje Weryfikacyjne... to był nasz postrach i horror, który śnił się przez cztery lata nauki. Pedagogzy wokaliści straszliwi nas nieustępliwą postawą komisji wobec słabo śpiewających adeptów. Akorzy straszliwi spektaklem dyplomowym, który musi mieć najwyższy zawodowy poziom. A jak to wyglądało od strony gabinetu pani dyrektor? Ty zawsze byłaś blisko tych spraw.

Z.L. - Byłam blisko, bo gabinet pani dyrektor był również moim gabinetem. Starania o powołanie komisji zaczynały się już od stycznia. Pani dyrektor zawsze (jak nakazywała wieloletnia tradycja) zabiegała zarówno o znaczących twórców jak i wybitnych pedagogów. W komisjach zasiadali tacy znakomici artyści jak: Henryk Czyż, Zbigniew Bogdański, Bogdan Paprocki, Jolanta Trawińska-Moroz, Wojciech Młynarski, Halina Mickiewiczówna, Alicja Boniuszko, Kazimierz Wrzosek i wielu, wielu innych. Do komisji, oprócz dyrektora, nie wchodził nikt z pedagogów. Można zatem powiedzieć, że ocena, czyli takie podsumowanie czteroletniego wysiłku, była jak najbardziej obiektywna. Niestety, czasami (choć rzadko) zdarzało się, że ktoś nie otrzymywał dyplomu. Jako sekretarz komisji (bo to ja zawsze byłam sekretarzem) byłam świadkiem kilku tragedii. No bo czyż nie było tragedią to, że po czterech latach wyrzeczeń, ciężkiej pracy i borykania się ze swoimi słabościami na koniec nie dostaje się dyplomu? No cóż, tak to było... to jest zawód dla najlepszych.

J.W. - Zawsze to powtarzam moim studentom. Przecież ten ochronny parasol szkoły kiedyś się kończy i wtedy już trzeba dalej iść samotnie własną drogą. Ale wracając do wspomnień, kto objął dyrekcję po Alinie Udmowskiej?

Z.L. - Czesław Kuczyński. Był instrumentalistą. Grał na klawecie w naszej orkiestrze w teatrze i oczywiście uczył w szkole muzycznej. Studium objął z mianowania. Następnie ktoś wyżej wpadł na chyba słuszny pomysł, że dyrektorem Studium powinien być dyrektor Teatru, aby uniknąć konfliktu interesów. Szkoła pomimo że państwowa korzysta z bazy teatru. Tylko dyrektor teatru będąc dyrektorem Studium czuje, że oba te twory de facto funkcjonują jak jeden organizm. Pewnie na tle teatralnej Polski jesteśmy jakąś niepojętą hybrydą. Tak samo zapewne patrzą na nas uczelnie aktorskie. Ale tak wymyśliła dyrektor Baduszkowa i tak to od wielu już lat funkcjonuje. I trzeba chyba bez zbędnej skromności przyznać, że ten model kształcenia wciąż się sprawdza. No więc dyrekcję Studia objął Jerzy Gruza. On też był autorem idei powstania profilu artystycznego w II Liceum

Ogólnokształcącym w Gdyni. Miała to być kuźnia talentów do naszej wtedy jeszcze 2,5 letniej szkoły. Uczyli tam nasi wykładowcy. Ty też zaczynałaś swoją nauczycielską karierę od zajęć z młodzieżą licealną, prawda?

J.W. - Tak, to prawda. Kiloro absolwentów trafiło bądź to do naszej, bądź to do innych szkół aktorskich. Reszcie na pewno zajęcia i czas spędzony w teatrze wyszedł na dobre. Do dziś utrzymuję kontakty z niektórymi absolwentami i miło wspominamy tamte czasy. Niestety idea J.G. padła, gdy Studium powróciło do czteroletniej formuły. A kto potem objął stanowisko dyrektora Studium?

Z.L. - Potem przyszedł Henryk Rozen - reżyser. Stworzył on stanowisko wice dyrektora, które objął Ryszard Ziółkowski-dotychczasowy pełnomocnik dyrektora ds. edukacyjnych. Ryszard przez te wszystkie lata wciąż piastuje to stanowisko. Natomiast młodzież bardzo lubiła pana Rozena. Choć był tu krótko, zdążył wyreżyserować bardzo dobry dyplom. „Firecyk w zalotach” Fredry wszedł do repertuaru naszego teatru i był grany do końca sezonu.

J.W. - Od jedenastu lat dyrektorem jest obecny szef teatru Maciej Korwin.

Z.L. - Tak. I trzeba przyznać, że to swoisty rekord w historii tej szkoły.

J.W. - O obecnych dyrektorach rozmawia się niezręcznie. Niech zatem dzieła, które po sobie pozostawi nasz dyrektor świadczą o nim.

Z.L. - Teatr przygotowuje się do rozbudowy i jeśli wszystko pójdzie dobrze, to już za kilka lat Studium otrzyma nowe pomieszczenia i sale do prób. Muszę też zdradzić, że dyrektor Korwin czyni starania o przekształcenie naszego Studium w uczelnię wyższą. Jeśli to wszystko mu się uda, to będą to milowe kroki w rozwoju naszej szkoły i historia na pewno mu tego nie zapomni.

J.W. - Czego mu wszyscy WSZYSCY WSZYSCY:

i pedagogzy, i absolwenci, i obecni adepci Studium z całego serca życzymy. A tobie, Zosiu, życzyć kolejnych lat z bracią studencką i nauczycielami naszej szkoły. Obyś dla nas miała dużo cierpliwości, a dla młodzieży jak zawsze wiele serca i wyrozumiałości.

Z.L. - Dziękuję bardzo. Nigdzie się na razie nie wybieram, więc mam nadzieję, że jak zwykle jeszcze nie raz zasiądziemy w komisjach na egzaminach wstępnych, semestralnych i dyplomowych. A po egzaminach... jak zwykle, zgodnie z tradycją spotkamy się w w którymś od lat ulubionym przez nas miejscu. A młodzież, która myśli o zawodzie aktora musicalowego proszę o telefon pod numer 058 620 95 21 wewnętrzny 232. Chętnie udzielię wyczerpujących informacji na temat egzaminów wstępnych do naszej cudownej, magicznej i jedynej w swoim rodzaju szkoły. Zajrzyjcie też na stronę naszej szkoły w internecie: <http://www.studium-wokalno-aktorskie.pl>



Dwa kroki za...

Dok. ze str. 1

- Wie pani uśmiechała się ironicznie - ja nawet nie muszę wchodzić na widownię, ja każe zrobić czarno-białą kukłę naturalnej wielkości i wysuwać ją od czasu do czasu zza kotary u wejścia, a oni (scena) natychmiast będą reagowali... Nie muszę wyjaśniać o jakiej to reakcji była mowa.

Przybycie do teatru.

Wchodziła do teatru, zjawiała się w teatrze, wkraczała do teatru. Z ludźmi, którzy wówczas znajdowali się w hallu, w okolicach portierni, zaczynało się dziać coś dziwnego: na planie filmowym nazywa się to STOP-KLATKA. Wszystko zamierało. Pewien rodzaj katalepsji. Gdy wchodziła, miała pierwsze słowo. Jakie? A jakież miało być? - Dzień dobry kłaniała się uprzejmie na lewo i prawo idąc do swojego gabinetu. Oczywiście każdy chciałby powiedzieć pierwszy: dzień dobry Pani Dyrektor! Ale rytuał był niesmiertelny, więc wszyscy pospiesznie: dzień dobry, dzień dobry, ... dobry, ...dobry, ...dobry....

Czasami widziało się w hallu skazańców. To ci, którzy zostali wezwani, ale jeszcze nie wpuszczeni. Czekali. Bez względu na odbywającą się w tym czasie próbę jeśli przewinienie było ciężkie. Gdy po dwu, trzech, pięciu godzinach, przechodząc przez hall, widziało się zupełnie już rozmiękłego nieszczęśnika, wówczas należało dyskretnie odwrócić głowę, by nie przysparzać mu większej przykrości.

Cała studyjna menażeria była oczkiem w głowie pani Dyrektor. Myślę, że chociaż żyła i cierpiała razem z teatrem, to Studio było tym, co bolało i cieszyło najbardziej. Czasami mówiła o nim brzydko To strup na mojej głowie. Czasem wzywała mnie do siebie i kategorycznie oświadczała: - Rozwiążuję! Mam już tego dość! Po co mi to

wszystko?! Koniec! Schylałam bolesnie głowę i ze ściągniętą twarzą odpowiadałam wzdychając: - Tak, pani dyrektor. To pani dziecko, absolutnie pani i może je pani zamordować, pociąć na kawałki, wyrzucić, zapomnieć... I tym podobne okropności, a w duchu myślałam: - o, znów się coś narobiło... Może jakiś urzędnik rzucił jadłowita groźbę, albo recenzent głupst napłótl, albo którejś dziewczynie (której??) zrobił się jakis „życiowy węzełek”, albo ktoś zza ściany (obok gabinetu była churówka)falszywie śpiewał, albo ja cos poknociłam, albo... Przewalało się.

Egzaminy w Studio. Trzęsienie ziemi i horror! „Być albo nie być” - a na to pytanie trzeba sobie dać odpowiedź śpiewając. Wszystko przygotowane na piętnastą. Pół godziny przed licząc: nauczyciele są, akompaniatory są, adepci jak najbardziej są, ja jestem (albo mnie nie ma, ale chyba jestem, bo muszę być). Za pięć trzecia schodzę do sekretariatu. Krystyna Kohl legendarna sekretarka mruga po przyjacielsku i daje znak, że OK. Wchodzi: - Są, pani Bogno? - - Są pani Dyrektor. - Czekają? - Tak jest, pani Dyrektor. - Idziemy! Ona idzie lekko i pewnie. I ja idę pewna jednego: nikt, ale to absolutnie nikt nie prawa przeszkodzić nam w tym marszu. Nikt nie podejdzie z jakąś bezgranicznie niecierpliwą sprawą. N i k t. Są egzaminy w Studio i pani Dyrektor idzie na nie. I cały teatr o tym wie. I ja wiem, że mam teraz swoje „pięć minut”. Teraz STUDIO! Idę dwa kroki za... Jest to odległość bezpieczna. Nie, żeby zaraz myśleć o ucieczce w razie czego, ale dystans dwu kroków jest odpowiedni, by wyeksponować osobę prowadzącą i jednocześnie czuć się z nią

związaną w sposób dyskretny i nienarzucający się. Siadam w rzędzie za. Blisko, by słyszeć cierpkie, rzucane półgłosem uwagi (oczywiście wyobraźni widzę niekiedy cezarski gest palca w dół), służyć informacją ale i nie przeszkadzać w tym bardzo osobistym przeżywaniu, jakie niewątpliwie jest udziałem pani Dyrektor.

Ostatnie podpisywanie świadectw.

- Tak mnie bolą palce, pani Bogno -skarży się. -Tak mi trudno utrzymać długopis. -Jeszcze tylko dziesięć pani Dyrektor. Proszę. Mnie też bolą ręce, to chyba reumatyzm -plotę klęcząc przy biurku i podsuwając papiery. - Oni tak czekają. Chcą zabrać do domów, pokazać rodzicom...

Imieniny.

Cały gabinet zamienia się w cos w rodzaju kaplicy. Przynosiło się kwiaty także w inne dni. Na przykład pierwsze bazie z rynku, delikatne gałązki seledynowej brzoźki, pęczek fiołków. Kiedy weszłam do gabinetu w dzień ostatnich już imienin, poraził mnie widok bukietu ciężkich, fioletowych róż zważonych przez pierwszy przymrozek. Serce mi się ścisnęło...

Jeszcze raz Studio.

Walczyła o nie ze wszystkimi, ponieważ miało ono więcej przeciwników niż zwolenników. Wyjeżdżała niekiedy nagle, gdzieś tam do Warszawy czy Łodzi, wywożąc ze sobą przygotowany przeze mnie „pakiet argumentacji”. Jechała, żeby jeszcze raz, nigdy nie ostatni raz, stanąć do walki o swoje Studio, o jego usankcjonowanie. Walczyła głównie z urzędami, ale pewnie i nie tylko.

Jak nas widziano?

Różnie. Studio cacy - słodzili recenzenci. - Patrzcie jacy ci prowincjusze są uparci. No, no. Jak na taką Gdynię to nieźle... Żeby tak u nas, w Warszawie - ziewali inni ale tam, gdzieś w Polsce? A co na to uczelnie teatralne?... Uczelnie milczały wysokim milczeniem. - Studio be - beczeł jeszcze inni, ale nie za głośno, bo Ona była... mocna i robiła coś, co albo nie udawało się innym, albo padało od bezinteresownej zawiści.

Studio powstało 4 października 1966 roku. Dokładnie po 19 latach przestało istnieć a na jego miejscu pojawiła się dwu i pół letnia szkoła zawodowa o bardzo długim tytule. Nie potrafię go przytoczyć. Potem przeistoczyła się na powrót w Studio i... niech tak już zostanie. Teraz ma większą szansę na przetrwanie mimo wszystko. Wtedy było dużo, dużo trudniej. Jej wola, upór, wiara, ukochanie młodzieży dały mu moc do przeżycia. - Dziękuję Pani, że dała nam Pani szansę powiedział kiedyś jeden z absolwentów podczas wręczania dyplomów. Co do mnie kierownictwo pod protektorem Danuty Baduszkowej objęłam (jako pierwszy kierownik Studia) w roku 1975 i służyłam szkole przez pięć lat. Pedagogiem natomiast byłam przez lat piętnaście. Tylko trzy lata przy obecności Danuty Baduszkowej. Mnie się zdaje, że to co najmniej dziesięć. Intensywność tych lat mogę porównać tylko z pierwszymi latami mojej pracy aktorskiej w teatrze Miniatura, skąd przyszedłam do „teatru Baduszkowej”.



Pracę w Studio pojmowałam jako służbę. Psią, wierną służbę, polegającą np. na tym, że nigdy nie śmiałam wyjść z teatru przed opuszczeniem go przez panią Dyrektor. Mogli mnie bowiem w każdej chwili wezwać z co tydzień sporządzanym planem. Teatr pracował w sposób zwariowany i trzeba było się nieustannie doń adaptować. Albo ot tak, aby mieć słuchacza do swoich monologów na temat istoty teatru muzycznego, czy ulubionej i zupełnie wtedy nowatorskiej w Polsce formy musicalu. Słuchałam Jej zafascynowana pięknym, głębokim głosem, błyskami lśniących, czarnych oczu, połyskiem wymanikiurowanych paznokci. Kiedy odbierałam po pierwszym dzwonku swój płaszcz z szatni żegnana okrzykiem zdumionych szatniarek: - Pani Toczyska, to pani jeszcze w teatrze? Szłam do domu pod ociemniałym już niebem. Myślałam z głęboką nadzieją w sercu, że jutro też będzie Studio, że adepci przygotują się do kolokwium z fonetyki i że nie zdarzy się nic takiego w naszej teatralnej rodzinie, od czego zamiera serce...

To był teatr na Bema. Teatr walczący o repertuar, o dobrego, należytego widza. Teatr Baduszkowej. I było Studio z przyjaciółmi pedagogami: Zjutkiem Muszyńskim, Zofią Czepielówną, Krystyną Ingersleben, Henrykiem Bistą, Urszulą Mordzewską, Zbyszkciem Bogdańskim, Halinką Mickiewiczówną.... Studio pełne młodzieży. Studio krwioobieg teatru. Po śmierci Danuty Baduszkowej nieżyjący już dziś rektor Akademii Muzycznej prof. R. Heising we wspomnieniu o Niej przytoczył słowa J. Cocteau: „Prawdziwy czyjś grób nie jest na cmentarzu, lecz w zapominalskich sercach żywych”.

My, którzyśmy byli w tych latach przy Niej i pracowaliśmy z całych sił dla Studia i teatru Baduszkowej nosimy w sercach pomniki pamięci. Póki żyjemy.

Bogumiła Toczyska



Przy okazji, od grzeszku: 2012
+ Józef Wąprowski (2006)
(621)
Na poprzednich stronach, 2
chociażby Stanisław Kosiński
HITSS, Taolensz KRZYSZK

Zdjęcia z prywatnych zbiorów B. Toczyskiej



Stow DĘBOWSKI, Zofia WINDYK
Grzegorz LEWKOWICZ
dykcja CHÓRU, prowadzący -
nski. Od jawa i 2higunew

Rozmyślając o Jubileuszu.

Amor incipit ab ego czyli

miłość zaczyna się od ja...



24 lata temu dane mi było rozpocząć pracę nauczyciela zadań aktorskich w Studio przy Teatrze Muzycznym. Pierwsze doświadczenia aktorki dramatycznej w nowej roli były nie tylko pouczające dla świeżo upieczonych pedagoga, ale przede wszystkim ciekawe, a nawet fascynujące. I tak już zostało. Wypełniły mi znaczną część życia zawodowego po dziś dzień. Miałam i mam szczęście współpracować z gronem pasjonatów, świetnych pedagogów i artystów. Mowa tu nie tylko o znakomitych aktorach z wybrzeżowych teatrów dramatycznych. Myślę o artystach śpiewakach i tancerzach. Uczestnicząc w kolejnych semestralnych egzaminach, słuchając omówień i uwag o studentach, śledząc postępy uczniów, po raz pierwszy praktycznie, świadomie dotknęłam tajemnic kunsztu nauczycieli, ich żmudnej, mozolnej pracy. I to już nie jako wdzięczny widz muzycznych spektakli, ale obserwator i uczestnik procesu twórczego, kształtującego młode talenty. To jakby z wolna odsłaniała się przede mną jakaś kurtyna. Ucząc innych zaczęłam uczyć się swojego zawodu w inny sposób, uważnie postrzegając najdrobniejsze szczegóły. Odkrywałam swoje Ameryki, a obok mnie równolegle trwała praca kolegów śpiewaków, tancerzy i muzyków. Praca w Studio wymagała nieustannej dobrej kondycji, zawodowej gotowości, poszerzała horyzonty wiedzy, choćby literackiej czy psychologicznej i to w szczególności, praktyczny sposób. Poznałam repertuar teatrów muzycznych, musicalowych, zaczęłam zbierać filmowe dzieła i dziełka i zachwyciłam się. Zaczęłam po nie sięgać w spektaklach dyplomowych, wielokrotnie z oczywistych względów prawnych i finansowych, wyprzedzając teatralny repertuar a nawet plany. Wymagało to niebywałych, często prawdziwie cyrkowych umiejętności, by zdobyć chociażby materiały nutowe. Dzięki temu młodzież miała okazję obcować z najlepszymi dziełami, takimi jak „Jesus Christ Superstar”, „Koty”, „Kiss me Kate”, „Człowiek z La Manchy”, „Evita”, „A Chorus Line” i wiele innych. I co najważniejsze zacząć z nimi, rozsmakować,

chcieć sięgać po nie, a więc doskonalić umiejętności, żeby poddać wymaganiom danej pozycji. Przez lata byłam świadkiem Wielkiej Przemiany młodych ludzi – z niesfornych dzieci w ukształtowane osobowości artystyczne. Ten cud jest w dużej części dziełem naszej szkoły, ponieważ to ona pokazuje i nazywa autorytety artystyczne, kształtuje smak i estetykę w odbiorze i czynieniu sztuki, a także umiejętność rozróżniania prawdziwych wartości. Od odświętnej sukienki na pierwszy egzamin semestralny ze śpiewu, poprzez klarowność pokazów tanecznych, szlachetność aktorskich interpretacji, aż do racjonalnej oceny dzieła teatralnego. To szkoła wymaga kultury osobistej i samodyscypliny, wyznaczając zachowania nie tylko przyszłych artystów, ale także ludzi. Piszę to wszystko z wdzięczności, że życie zawiodło mnie do tego miejsca. Żmudna i niełatwa praca pochłania czas i myśli każdego dnia. Jednak dzięki temu jestem częścią spełnionego Wielkiego Marzenia. Przez 40 lat istnienia Studio wykształciło kadrę artystów, którzy zapewnili Teatrowi Muzycznemu w Gdyni sławę i rozmach. To absolwenci tej szkoły stanowią o zespołach artystycznych najlepszych teatrów w Polsce. Niektórzy pracują w operach, grają w teatrach dramatycznych, niektórych los rzucił na drogi teatralne Europy i USA. Niektórzy stanowią część kadry nauczycieli w Studio realizując mozolnie wypracowywany latami program nauczania. Dyrektor Baduszkowa wiedziała, że „marzenia kosztują krew, pot, frustrację, łzy, odwagę, wybory, wytrwałość i niezwykłą cierpliwość. Jednakże narodziny marzenia wymagają jednej rzeczy. Miłości”. Amor incipit ab ego. Dzięki tej szkole dowiedziałam się więcej o aktorskim rzemiośle i o sobie. W tym jubileuszowym roku opuści szkołę rocznik, którego byłam opiekunem. Mój piąty dyplom. Razem to będzie już 58 „moich dzieci”. Część z nich pracuje tu, w Teatrze Muzycznym. Nie zdają sobie pewnie sprawy, ile im zawdzięczam.

Małgorzata Talarczyk

Aktorem ... może być każdy.



Teza postawiona w tytule jest dość ryzykowna, ale analizując tendencje rodzące się w rodzimym show-biznesie – wysoce prawdopodobna. No bo skoro modelka może być aktorką, piosenkarka może być aktorką, tancerka może być aktorką, to w zasadzie każdy, kto zagra w czymkolwiek emitowanym przez stacje telewizyjne, może się za aktora uważać. Publiczności nie będzie pewnie obchodziło, czy delikwent

ciężko harował przez cztery lata ubiegając się o dyplom aktora zawodowego, czy tylko miał szczęście wypowiedzieć parę kwestii napisanych przez Ilonę Łepkowską. Gra – więc – jest aktorem. I nie ważne jak gra, nieważne, że źle akcentuje. Może nawet seplenić. Ale gra, i to w serialu. A teraz przez chwilę zastanówmy się nad odwrotną sytuacją: czy z kolei aktor też może być każdym? Czy cztery lata spędzone w szkole teatralnej może się na coś przydać w innym zawodzie? Z pewnością. I to bardzo. Oczywiście wiadomo, że każdy młody człowiek, który decyduje się na zawodowe aktorstwo, marzy też o karierze. Nie ludźmy się jednak – nie każdy ją robi. Czy warto więc brnąć dalej? A może poszukać swojego miejsca gdzie indziej – z dala od rywalizacji, castingów i scenicznej tremy. Powstaje zasadnicze pytanie – gdzie? Okazuje się, że są pewne obszary zawodowe, w których cała zdobyta w szkole aktorskiej wiedza i doświadczenie wyniesione z pracy scenicznej mogą być dużym atutem. Powiedzmy taki marketing czy PR. Ktoś, kto był aktorem, nie powinien mieć żadnych problemów w relacjach międzyludzkich. Powinien być otwarty – przecież cechuje go duża inteligencja społeczna. Powinien umieć wywierać wpływ – bo nie ma lepszej szkoły życia niż kulis teatralne.

Skupmy się jednak na wiedzy praktycznej. Dykcja i artykulacja tylko z pozoru przydają się wyłącznie w sytuacjach scenicznych. Marketingowiec czy PR-owiec, którzy przejdą ciężką szkołę zajęć z dykcji i impostacji, z pewnością wywrą lepsze wrażenie, niż ktoś zahukany i polykający samogłoski. Odpowiednia modulacja głosu, panowanie nad stresem w sytuacjach ekstremalnych (oczywiście z zawodowego punktu widzenia – nie mówimy o klęskach żywiołowych) i wyraźna artykulacja pomagają w osiągnięciu odpowiednich celów.

Kolejna ważna sprawa to odpowiednia postawa. Mam tu na myśli postawę ciała, którą można wypracować podczas niezliczonych zajęć z tańca w studium wokarno-aktorskim. Można – pod warunkiem, że się chce. Właściwa postawa na scenie jest po prostu koniecznością, a w stosunkach biznesowych przydaje nam pewności siebie i sprawia, że jesteśmy postrzegani jako bardziej wiarygodni. I w ten oto sposób można paradoksalnie stwierdzić, że zajęcia ze stepu czy ćwiczenia przy drążku pomagają w karierze w zupełnie innym obszarze. Nie posyłałbym oczywiście przymusowo całej kadry kierowniczej na szkolenie z tańca współczesnego, ale jeśli już ktoś ma za sobą ten trening, to niech go wykorzysta jako swój niewątpliwą atut!

Następna kwestia to wpływ ekstremalnego stresu na osobowość. W sprzedaży bezpośredniej, PR czy też w reklamie i marketingu często jesteśmy zmuszeni do publicznych wystąpień. Dla aktora, który co wieczór musiał stawać przed widownią, żadna prezentacja nie stanowi problemu. Przydadzą się też wspomniane wyżej umiejętności: doskonała wymowa i dobra prezentacja. W połączeniu z umiejętnością redukcji stresu otrzymujemy pełen pakiet atutów. Nie twierdzą oczywiście, że można ot tak wdrożyć się w nowy zawód, zaraz po opuszczeniu teatralnych murów. Nie warto jednak stawiać się przed wyborem: teatr albo nie. Bardzo często z rozmów z aktorami wynika, że tkwią oni w swojej, czasem beznadziejnej sytuacji zawodowej, bo uważają, że nie poza graniem im nie wychodzi. Czasem jest tak nawet wówczas, gdy samo granie też wychodzi im dość kiepsko. Zapewniam jednak wszystkich wątpiających – jeśli tylko odważą się na krok w kierunku nowej kariery, to świadomość tego, co ukształtowało ich w życiu teatralnym i wszelkich umiejętności zdobytych w szkołach teatralnych, będzie działać na ich korzyść.

Z pewnością będzie konieczne uzupełnienie wykształcenia. Jednak każda dobrze wyekspozowana umiejętność może stać się wielkim atutem. Wiem o tym z autopsji. Patrząc z perspektywy na to, co udało mi się osiągnąć, muszę stwierdzić, że w dużej mierze zawdzięczam to temu, czego nauczono mnie właśnie w Studium Wokarno-Aktorskim. Zajęcia z doskonałymi pedagogami dały mi umiejętności, które wykorzystuję do dziś. Już nie na scenie, lecz w zupełnie odmiennej dziedzinie.

Piotr Bucki

Autor jest dyrektorem ds. marketingu w Gdańskim Wydawnictwie Psychologicznym i zajmuje się promowaniem projektów wydawniczych. W ostatnim czasie promował książkę pani Bogumiły Toczyńskiej – swojej profesora, która w szkole uczyła go dykcji pt. „Głośno i wyraźnie”



ZMYŚLONA HISTORIA PRAWDZIWA MIĘDZY ŁODZIĄ, SOPOTEM A GDYNIA.

- Prawdą jest, że przygotowywała się do jakiegoś konkursu pianistycznego, ale nie pamiętam jakiego. Nie przeszła jednak przez pierwszy etap. Jednak zawsze chciała być wielką artystką...

Z własnoręcznie napisanego życiorysu
(akta osobowe U.E. archiwum Teatru Muzycznego)
Urodziłam się 18.12.1941r. w Łodzi. Ojciec mój jest artystą muzykiem i pracuje w Filharmonii Łódzkiej. Matka była tancerką. Liceum Muzyczne ukończyłam w 1957r. Następnie wstąpiłam do PWSM w Łodzi gdzie ukończyłam ją w 1961r. w klasie prof. Drzewieckiego. Podczas studiów pracowałam jako asystent w klasie prof. Romaszkowej w tejże uczelni.

Profesor Romaszkowa, wybitna pianistka i pedagog, rzeczywiście była maestra panny Urszuli. Jednak prof. Drzewiecki nie uczył w łódzkiej szkole. Ekiertówna zetknęła się z nim w Warszawie podczas konsultacji warsztatowych przed konkursem chopinowskim. To jednak wystarczyło aby wpisać ten wybitny autorytet w swoje dossier artystyczne.

Zmiana nazwiska (Ekert na Ekiert) nastąpiła pod koniec studiów, prawdopodobnie z chęci przypisania się do rodziny Janusza Ekierta, znawcy muzyki i znanego krytyka. Na studiach też Urszula po raz pierwszy się odmładza. Na razie niewinnie – o 2 lata. Jeśli zaś chodzi o nieudaną próbę startu w konkursie Urszula podawała swoją, dość prawdopodobną wersję, iż ciężka choroba i omdlenie w trakcie przesłuchań konkursowych uniemożliwiły jej dalszy udział. Po studiach podjęła pracę w teatrze Wielkim w Łodzi jako korepetytor baletu. Trudno powiedzieć skąd wzięła się jej łatwość improwizowania do ćwiczeń baletowych. Janina Niesobka – tancerka i choreograf, wspominała, że gdy została przyjęta po szkole do teatru do corps de ballet, Urszula już grała do treningów. – Pamiętam tę jasno blond dziewczynę. Wyglądała bardzo młodo i trudno było uwierzyć, że jest już po studiach. Grała jednak świetnie. No i była artystką o niespokojnej duszy. Może to właśnie zauroczyło Staszka Dziuka, który po jakimś czasie oświadczył się i został przyjęty (62r.). W 1963 roku Urszula wraz z mężem opuszcza rodzinną Łódź, by już nigdy tam nie powrócić.

SOPOT – MOJA MIŁOŚĆ

Nie od razu zamieszkali w Sopocie. Staszek dostał angaż do Opery Bałtyckiej. Urszula znalazła pracę w szkole baletowej. Mieszkali skromnie w baraku przy operze przystosowanym na „mieszkania” dla artystów. Jednak już po krótkim czasie dostali mieszkanko w sopockiej kamienicy przy ulicy Grunwaldzkiej. Można powiedzieć, że to było artystyczne mieszkanie, bo zamieszkali ją tancerze, muzycy a nawet reżyser (było tam 5 pokoi, dwie kuchnie i łazienka). Sześciu lat w Sopocie, to okres ciężkiej pracy, ale i niekolejących się imprez. Alkohol lał się dość obficie, wszystko odbywało się w atmosferze dobrej zabawy. Trzeba przyznać, że taki styl życia, który wpisał się na stałe w osobowość Urszuli nigdy nie przeszkodził jej w rzetelnym wykonywaniu obowiązków zawodowych. Około roku 65 Urszula poznaje Danutę Baduszkową, która w tych latach pod opieką artystyczną miała Zespół Estradowy Marynarki Wojennej „Flotylla”. Za jej namową w 1966r. rozpoczyna dwuletnią współpracę z tym zespołem. Kolejny etap to już Teatr Muzyczny w Gdyni. Przyjmują się do pracy w 1967r. Urszula jest już o 6 lat młodsza podając 1941r. jako rok swoich urodzin. Stary teatr na Bema był mały, ale z prawdziwą atmosferą twórczej pracy. Dużo młodzieży, ciągle próby przeciągające się nie raz do późnych godzin nocnych i poczucie bicia potrzebnym. To wszystko sprawiło, że teatr skradł serce Ulki na resztę jej życia. Pracowała dużo. Była korepetytorem baletu, korepetytorem solistów, akompaniowała na zajęciach wokalnych, grała w orkiestrze, przygotowywała muzycznie spektakle dyplomowe. Nigdy jednak nie skarżyła się. - Po co się skarżyć. Przecież robię to, co najlepiej potrafie i najbardziej kocham – mawiała. Lata 70-74 to krótka przerwa w pracy w teatrze. Nikt już nie pamięta przyczyny jej odejścia. Może czymś podpadła Starej, a może było to jedno z jej szaleństw. W tym czasie pracowała w gdyńskiej kawiarni Roksana, gdzie stał piękny, stary fortepian. Dawni bywalcy Roksany pewnie pamiętają tę drobną panią przy klawiaturze, zawsze lekko ekstrawagancką, w ciemnej peruce z nieodłączną lampką koniaku na fortepianie i papierosem w dłoni. Jej obecność i gra tworzyły niepowtarzalną atmosferę miejsc, w których grywała. Pamięta ją sopocki Grand Hotel i Złoty Uln... Jej wspomnienia z tamtych lat, to głównie opowieści o niesłychanym powodzeniu u panów, nierzadko obcego pochodzenia. No cóż, Staszek Dziuk był już wtedy w Szwecji. Małżeństwo się skończyło i nic już nie wiązało młodo wciąż wyglądającej i czującej się Uleńki. Kiedy kolejny raz podejmuje pracę w Teatrze Muzycznym w jej kwestionariuszu osobowym pojawia się nowe nazwisko: Urszula Ekiert – Kroplewska. I to stanowi chyba najwciśniętą zagadkę. Nigdzie indziej nie używała nowego członu nazwiska. Kim więc był Jarosław Kroplewski urodzony 13.04.1936r.? Pani Maria Szywacz, która przez wiele lat była kadrową w teatrze twierdzi, że był to jakiś nieudany związek, który nie trwał długo i dlatego nikomu nie udało się poznać nowego męża Urszuli. Zagadkowe jest również to, że nikt dokładnie nie wie, w jaki sposób zakończyło się jej pierwsze małżeństwo.

Niektórzy pamiętają opowieść, jakoby mąż jej zginął tragicznie w Szwecji. Urszula pojechała po jego zwłoki, żeby sprowadzić je do kraju. Opowiadała o tragicznym wypadku, który wydarzył się w drodze powrotnej. Trumna z ciałem została rozbita a ona znalazła się w szpitalu i przeszła ciężką operację na otwartej czaszce. Trudno jednak do końca uwierzyć w tę tragiczną historię. Okazuje się, że starsi tancerze będący już na emeryturach utrzymują, że Stanisław Dziuk żyje i mieszka na Zachodzie, natomiast Urszula nigdy nie miała paszportu. Czemu więc miała służyć ta czarna opowieść? Może miała być usprawiedliwieniem na noszoną od lat perukę, a może miała dodać nowego, tragicznego wyrazu kreowanej przez Ulę postaci. Po latach jej młodsza o wiele lat przyjaciółka Ania Widera, z którą łączyły ją więzy zawodowe i oparta na głębokim szacunku przyjaźń poznała zupełnie inną historię tego małżeństwa. W ostatnich latach przed śmiercią Urszuli Anna, która była wcześniej jej studentką, stała się osobą bardzo jej bliską. W teatrze Urszula często opowiadała wiele ciepłych rzeczy o swojej pupilce. Chwaliła jej warsztat wokalny, cieszyła się z przyjęć, na które była zapraszana, żyła ich wspólnymi koncertami. I oto na jednej z rodzinnych imprez u Ani, gdzie Urszula przyjmowana była jak rodzina opowiadała o chorobie swojego pierwszego męża. Mówiła o tym, jak walczył z postępującym nowotworem i o swojej opiece nad nim w jego ostatnich dniach. Zapewne i tym razem jej wyobraźnia stworzyła obraz obliczony na osiągnięcie jakiegoś efektu. Może dawne wspomnienie krótko trwającego związku nie było niczym przyjemnym i po prostu podświadomie zostało zastąpione fikcją, a może było zbyt prozaiczne (np. rozwód) i nie pasowało do wizerunku wielkiej artystki po tragicznych przejściach, której złe losy koleje nie pozwoliły rozwinąć tak dobrze zapowiadającej się kariery.

SPATIF, PIANINO I ŚPIEW

Urszula była stałą bywalczynią sopockiego SPATiF-u. Można powiedzieć, że w pewnym okresie był to jej drugi dom. Potrafiła się bawić jak nikt. Był to okres, w którym nieźle zarabiała. Słynęła z tego, że miała gest. Niejedna osoba balowała do rana na jej koszt. Bywalcy „klubu”, z lat, kiedy lokal prowadziła pani Terenia dobrze pamiętają Ulkę, która bez względu na porę (przeważnie była to już noc) skrywała się za ciemnymi szklami słonecznych okularów. Drinki i papierosy znikwały mniej więcej w stosunku 1 do 5. Nigdy nie próbowała rzucić palenia. Może u schyłku życia trochę mniej piła. Nie żyła zdrowo, ale w przychodni rejonowej nie ma jej kartoteki. Radziła sobie z chorobami w jej tylko wiadomy sposób. Do pracy przychodziła bez względu na wszystko, a rzadkie nieobecności częściej usprawiedliwiała niestworzonymi historiami, niż chorobą.

Tak więc Spatif kochał Ulkę, a ona kochała Spatif. Nikt dokładnie nie wie ile godzin, dni, tygodni przesiadywała na sławetnej grzędzie sącząc swojego drinka i snując opowieści o zagranicznych wojażach i sławnych muzykach, których przypadkowo spotykała w świecie. Wszyscy lubili te historie, choć dla wielu były one pożywką do późniejszych żartów za plecami Ulki. Jej ulubionymi bohaterami byli: Rubinstein, Karajan a nawet Michael Jackson. Spotykała ich albo w Paryżu albo w Wiedniu, czasami w Zurychu. Odwiedzała te miasta, gdyż tamtędy „wiodła trasa jej koncertów”. Czasami nie pamiętała, że będąc wczoraj w „klubie” nie mogła być jednocześnie na kawie z Karajanem w Genewie, który co prawda ją zaprosił, ale za którego musiała zapłacić. Nikt jednak nie próbował prostować owych nieścisłości. Bo czyż można mieć za złe, że gwiazdy, o których opowiadała, dostawały trochę ludzkiego oblicza, trochę swojskiej twarzy. Brak dzieci i z biegiem lat narastająca samotność rekompensowała Urszuli Majka – kotek, który był jej oczkiem w głowie. Czasami sama nie zjadła porządnego posiłku, ale kot miał zawsze wikt zabezpieczony. Ta miłość do zwierząt jest kolejnym dowodem jej ogromnej wrażliwości i gołębiego serca. Pierwsze oznaki samotności pojawiają się gdy zostaje zamknięty Spatif. Co zrobić z sobą w te długie wieczory? Odwiedzała kolejne miejsca. Czasem bywała w restauracji Balzac (dawna Staropolska, obecnie Tawerna Hiszpańska) u swojej wieloletniej przyjaciółki Barbary Jankowskiej. Basia, jako była „Mazowszanka”, okazała się bratnią duszą spod wspólnej artystycznej gwiazdy. Jednak, o ile Urszula była przyjmowana przez Barbarę jak rodzina, o tyle obawiam się, że spatifowskie towarzystwo musiałoby wydać całomiesięczny „fundusz reprezentacyjny”, aby móc się zabawić w Balzac'u. Po ponownym otwarciu Spatifu, które nastąpiło w 1994 Urszula otrzymała własną kartę wstępu.

Jednak do nowego klubu nie wróciła już dawna atmosfera. Powoli stare towarzystwo przestało być w miejscu, którym zawładnęło inne pokolenie - uzurpatorów, którzy znają lepsze recepty na zabawę. Do papierosów i trunków dołączyło piwo i zapach palonej „trawki”. Takiego Spatifu Ula nie знаła. Może nawet poznać by nie chciała.

PANI PROFESOR

Kochała swoich studentów. Wspierała ich jak mogła. A w swoich zapalach pedagogicznych często podszywała się jako wychowawczyni co znamienitszych talentów. Miałem szczęście znać Urszulę zarówno jako jej student jak i pedagog, któremu akompaniowała do lekcji stepu. Pracowaliśmy razem w II LO w Gdyni, gdzie na początku lat 90 utworzono profil artystyczny. Wtedy to na jej prośbę odbierałem jej pensję w sekretariacie szkoły. Dawała mi swój dowód osobisty. Pamiętam, że zaskoczyła mnie data urodzin, która tam figurowała. 18.12.1947. mając tyle lat nie można było odbyć muzycznej edukacji na poziomie akademickim i jednocześnie mieć tyle lat stażu pracy. Nigdy jednak nie zapytałem o ten proceder odmładzania słusznie czując, że nie jest to temat do rozmowy. Zresztą data urodzin nie była ważna. Ważne było jakim była człowiekiem. Pamiętam jak na egzaminach dyplomowych przed komisją ministerialną ostentacyjnie demonstrowała, że fortepian jest złe nastrojony. - Żeby potem nie było, że nieczysto śpiewa – mówiła przed popisem kolegi, który nie miał najlepszego „ucha”. Innym razem na egzaminie rocznym zagrała cały utwór niżej transponując go o sekundę wielką koleżance, która miała kłopoty z wyciągnięciem gór. W trakcie długich prób spektakli dyplomowych żądała przerwy dla pianisty, by ją całą poświęcić komuś, kto jeszcze nie do końca opanował muzycznie swoją rolę. Grała każdy temat z tak zwanego „kapelusza”. Osluchana z repertuarem zarówno klasycznej operetki jak i musicalowym była nieoceniona na lekcjach tańca. Na chałturach, na które czasem zabierała studentów była gwiazdą. To od niej wielu z nas uczyło się estrady. Nasza pani profesor Urszula Ekiert. Łączyło nas szczególne porozumienie - przyjaźń oparta na szacunku i podziwie dla talentu. Nic nigdy tego nie zmieniło. Ani kolejne wspólne drinki, ani bruderszaft, który po latach sama zaproponowała. Pustki, która po niej pozostała nie zapełnił nikt. To dobrze. Tak powinno być, bo...

Trudno dotrzeć do wszystkich ludzi, którzy znali Urszulę i mienili się jej przyjaciółmi. Jeśli w gonitwie za informacją pominałem jakieś istotne szczegóły będę wdzięczny za uwagi. Jeśli zaś ktoś poczuje się urażony – z góry przepraszam, gdyż nie taki był mój zamiar. Tych kilka zdań należało się tej kobiecie. Podążają bowiem powoli za nią ci, którzy ją znali. Niewinne, choć zabarwione mitomaństwem, historyjki nabrały własnego biegu i urastają czasem do niewyobrażalnych rozmiarów. Jeśli więc gdzieś, kiedyś ktoś opowie wam jakąś historię, ponoć z jej życia, będziecie mogli powiedzieć – Tego nawet Urszula by nie wymyśliła.

Jacek Wester



Nie zrobiła oszałamiającej kariery, choć jej talent i umiejętności zapewne na to pozwalały. Ale chociaż nie grała na wielkich koncertowych salach nikt z tych, którzy jej słuchali nie może zaprzeczyć, że grała pięknie. Urszula Ekiert – pianistka, akompaniator, korepetytor baletu, przyjaciel, człowiek o złotym sercu, nieszkodliwy kłameczuch – kolorysta, który wymyślił siebie od nowa. Sopot lat 60, 70 i 80 pełen był osobliwych postaci. Ludzi, którzy wrastali w miejski krajobraz tego letniego kurortu – perły Bałtyku. Były też miejsca specjalne. Miejsca elitarne i niedostępne. Gdy po sopockim deptaku przelewała się jednorodnie szara masa obywateli PRL-u, na pięterku w Spatifie bawiła się bohema – artyści i niebieskie ptaki podejrzanego autoramentu. Jakiż to był kontrast; ta szara ulica i ten inny świat uniesiony na wysokość pierwszego piętra spowity w dym dobrych papierosów i mocno zakrapiany najtańszą chyba wódką w Trójmieście. Urszula Ekiert spędzała swój czas wśród tych, których najbardziej ukochała – wśród artystów. W Spatifie lubiła siadać do nie zawsze dobrze nastrojonego pianina. Dyrektor Baduszkowa, która przyjmowała ją do teatru muzycznego w 1967 roku często mówiła – jeżeli przy fortepianie siedzi „nic”, a słysząc piękną muzykę, to na pewno gra Urszula. Szczupła sylwetka tej przeciwie drobnej, niewysokiej kobiety była jednak pełna swoistej wyniosłości. Roztoczyła wokół siebie aurę nieprzeciętności. Zawsze miała wysokie mniemanie o sobie poparte jednak solidnym warsztatem pianistycznym. Była mistrzynią improwizacji. Nikt bardziej precyzyjnie nie umiał zagrać do lekcji baletu. Przepracowała w teatrze blisko 30 lat, jednak dziś nikt nie umie powiedzieć o niej kilku prawdziwych zdań. Wszyscy wspominają ją bardzo ciepło, uśmiechając się jakby do wspomnień. Wychodzi na to, że ludzie znali ją tylko na tyle, na ile ona sama im na to pozwoliła. Ja sam znałem ją ponad 17 lat i podobnie jak innym nie udało mi się poznać zbyt wielu faktów z jej barwnego życia. Może więc teraz, gdy już jej nie ma uda mi się poznać tajemnic. Oddzielnie mistyfikację od nagiej prawdy, wytwory wyobraźni od rzeczywistości urzędowych dokumentów, mitomańskie zapędy od rzeczywistego talentu.

ŁÓDŹ – POCZĄTEK WSZYSTKIEGO

W chłodną środę 18 grudnia 1935 r. przyszła na świat mała Uleńka.

1

RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w Łódź: Śródmieście.....
Województwo..... Łódzkie

Odpis skrócony aktu urodzenia

1. Nazwisko..... Ekert

2. Imię (imiona)..... Urszula Zofia

3. Data urodzenia..... 18 grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego (18.12.1935) roku

4. Miejsce urodzenia..... Łódź

5. Imię i nazwisko rodowe..... Henryk Ekert

6. Imię i nazwisko rodowe..... Marianna Mikołajczyk

Podpisano się zgodzić powyższego odpisu z treścią aktu urodzenia Nr IV.15(6)26.....
Łódź, data..... 1996.06.26.....

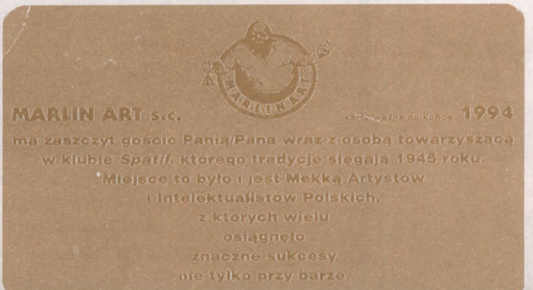
KIEROWNIK,
Urzędu Stanu Cywilnego
PODINSPEKTOR
Elżbieta Woźniak

148

Łódź przywitała to dziecko tak, jak wiele innych, bez specjalnych honorów i splendoru. Może dlatego ta urodzona artystka nie polubiła tego miasta. Była najstarszym dzieckiem pana Henryka EKERTA i jego żony Marianny z domu Mikołajczyk. Tatuś był altowiolistą w Filharmonii Łódzkiej – przyznaje pani Jadwiga Sowińska, młodsza o 5 lat siostra Urszuli. A więc to prawda, że pochodziła z rodziny artystycznej. Ojciec – muzyk. A matka tancerka? – pytam pełen nadziei, że jednak potwierdzają się opowieści Urszuli. – Ach nie, to niestety wymyśliła. Wydaje mi się – mówi pani Jadzia – że Ula trochę wstydyła się naszej rodziny. – Pani Jadwiga o śmierci siostry dowiedziała się już po pogrzebie. W teatrze nikt nie wiedział o istnieniu pani Jadwigi. - Od dziecka była inna – wspomina siostra. Miała talent więc tato posłał ją do szkoły muzycznej. Tam chyba poczuła pociąg do tego artystycznego życia. Potem było liceum muzyczne, no i w konsekwencji Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna.

Nr.266 Zaświadczenie Zaświadcza się, że Ob. Urszula Ekiert ur. 18-go grudnia 1937r. w Łodzi studiowała w PWSM w Łodzi na Wydziale Instrumentalnym sekcji fortepianu od roku 1956 do 1961 i ukończyła wszystkie przedmioty objęte obowiązującym programem nauczania z wynikiem ogólnym bardzo dobrym.

Rektor /-/ prof. Kiejstut Baciewicz



„Niech no tylko zakwitną...”

Dok. ze str. 1

ROK IV. Praca nad dyplomem wre. Tu trzeba scenariusz skrócić, tam przedłużyć. A jakie właściwie będą kostiumy, czy ja mogę tę piosenkę, czy ja zdążę się nauczyć? Trzeba zmienić, poprawić, przyciąć, skreślić, poszukać, ułożyć, ustawić. „Niech no tylko zakwitną jabłonie” przestaje się kojarzyć jedynie z pojedynczymi scenami, stapia się w całość i nagle tworzy się pełen obraz. Jesteśmy zabiegani. Przecież poza dyplomem jest jeszcze praca w teatrze, próby, spektakle, a czasu tak mało, coraz mniej, właściwie już tylko odrobina. I coraz większa trema.

„Niech no tylko zakwitną jabłonie” Agnieszki Osieckiej nie jest musicaliem, ale spektaklem muzycznym, próbą opowiedzenia, czy raczej odmalowania piosenką historii Polski po roku 1918 aż do współczesności. Jest teatrem subtelnych nawiązań i delikatności słowa, dowcipu i zabawy konwencją. Brak w nim opisów konkretnych wydarzeń. Lata upływają w piosenkach, w dialogach, w zdarzeniach na pozór nieważnych. Z tego wszystkiego wyłania się jednak obraz społeczeństwa – targanego na przemian nadzieją, rozpaczą, zwątpieniem i znów nadzieją, coraz bardziej gorącą, coraz bardziej bolesną. W spektaklu będzie można usłyszeć takie utwory jak „Mały gigolo”, „Sztuczny miód” czy „Alabama”. Będzie taniec, będzie śpiew, będzie wesoło i będzie smutno. Będzie ciekawie.

Na razie jednak trwają przygotowania. Jesteśmy coraz bardziej przerażeni, coraz bardziej niespokojni. Ten spektakl będzie przecież podkreśleniem, podsumowaniem całości naszej czteroletniej pracy

ROK III. Wszyscy obiecywali nam, że będzie to rok lekki i przyjemny. Przecież odpadło już tyle przedmiotów, pozostało tylko kilka. Będzie można się rano wyspać, będzie można odpocząć. Nie prawda. Nie odpoczywałam. Na zajęciach aktorskich nie było łatwo, choć „Zdrada” Harolda Pintera nas wszystkich bez wyjątku fascynowała. Odkrywałam na scenie wagę ciszy i półsłówek, ciężar spojrzeń, znaczenia lekkiego skrzywienia ust.

Z kolei „Bądźmy poważni na serio” Oscara Wilde’a wyzwalalo energię. Tempo, tempo, czemu tak wolno? Zapamiętać: komedie gramy z werwą! Z tańca współczesnego – egzamin końcowy za pasem. Roxanne do zatańczenia proste nie jest. Kroki mylą się, a jeszcze przecież trzeba „o czymś” zatańczyć, opowiedzieć historię, przemyśleć. Ach, i śpiew. Utwory klasyczne są potężne i trudne, ale przepona leniwa po dniu pełnym pracy. Wieczorami próby i spektakle. I jeszcze trzeba pomyśleć o dyplomie, trzeba zacząć próby, nauczyć się tekstów. Ale przecież jeszcze mamy tyle czasu! Jestem zabiegana, jestem zmęczona, ale szczęśliwa. Takie życie... jest piękne.

ROK II. Rozprostowaliśmy skrzydła. Po roku, kiedy każdy bał się, że nie zaliczy egzaminów, nadszedł czas większej pewności siebie i swojego miejsca w Studiu. Rozpiera mnie energia. Chciałbym już wejść na scenę, ale do tego droga jeszcze daleka. Na razie trzeba skupić się nad „Trzema siostrami” Antoniego Czechowa i nad „Opowieściami o zwyczajnym szaleństwie” Petra Zelenki. Wykładowca scen współczesnych, pani Małgorzata Brajner zabiera czasem na zajęcia małego synka, grzecznego i radosnego. Przy nim przyjemnie się próbuje, małeś śmieje się w głos i klaszcze. Opiekunka naszego roku, Małgorzata Talarczyk, wpada na pomysł spektaklu dyplomowego. O tekście „Niech no tylko zakwitną jabłonie” niemal nikt z nas wcześniej nie słyszał, choć większość piosenek jest dobrze znana. Jesteśmy podekscytowani i pełni chęci do pracy. Na razie jednak nawal pracy nie pozwala rozpocząć prób,

skupić się trzeba na problemach bieżących, na prozie, wierszu i tańcu klasycznym. Mamy co robić. A do dyplomu jeszcze tak daleko...

ROK I. Padł na mnie błąd strach. Jak można tego wszystkiego na raz się uczyć, jak można spać? Nie stój tyłem do publiczności. Mów postawionym głosem. Otwieraj samogłoski. Nie tak. Źle. Głośniej. Nie chodź jak mówisz. Popraw wymowę „eski” i „eszki”, język w rulonik, ćwicz! Sale, w których odbywają się zajęcia, są ciemne. Podłoga czarna, czarne ściany i nawet okno przesłonięte jest czarnymi kotarami. Słońce tylko na korytarzach, garderoba pierwszego roku jest ciasna i, jeśli nie zapalić światła, skrywa się w półmroku. Między sobą poznajemy się szybko, zajęcia i fuksówka przyzwyczajają nas do wysokiego tempa pracy. Żyjemy się. Zupełnie nagle stajemy się niczym paczka starych, dobrych kumpi, którzy zawsze sobie pomogą. Z teatrem oswoiłam się szybko. Mogę chodzić korytarzami z zamkniętymi oczyma. Poznaję kolegów z roku po odgłosie kroków. Na zajęciach aktorskich niemieliśmy, a w śpiewie – pierwsze klasyczne utwory. Na balecie pan Andrzej Bujak i francuskie nazwy ćwiczeń. Uczę się. Nauczę się. Będę w tym dobra. To, czego w nas wszystkich najwięcej, to nadzieja. Cztery rok pracuje nad przedstawieniem dyplomowym. Przygotowują spektakl pod tytułem „Fame”. Jacy oni dojrzały. A my? A ja...

ROK 0. W teatrze gwar. Po korytarzach kręci się ponad stu dwudziestu kandydatów do szkoły. Wchodzą po kolei na salę baletową, do gabinetu dykcji, sali chóru i sali kameralnej. Na każdym etapie co raz ich mniej. Wśród nich, rozproszone, jedenaścioro osób, które kiedyś, w odległej przyszłości,

stworzy dyplom pod tytułem „Niech no tylko zakwitną jabłonie”. Gryszka i Iwasiutka siedzą razem na schodach, rozmawiają. Leszek podłączył się do ekipy gitarowej i śpiewa. Magda denerwuje się, krąży nerwowo, zagryza wargi. Krzysiu jest spokojny, rozśpiewuje się delikatnie. Zgódka ćwiczy dykcję. Jagga stoi z boku, obserwuje wszystkich uważnie. Pod pachą ma „Idiotę” Fiodora Dostojewskiego. Tafel zaszył się w palarni, kopci z godną podziwu zaciętością. Haidi rozciąga się i powtarza w myślach teksty. Gosia szuka pani akompaniatorki. Ma plik nut i dwie piosenki do przećwiczenia. Glob ćwiczy kroki tańca. Jest jednym z najwyższych, więc wchodzi prawie jako ostatni. Jeszcze nie wiedzą czy się dostaną. Jeszcze się nie znają.

Na rok pierwszy przyjęto dwadzieścia dwie osoby. Część odeszła szybko. Z tymi, którzy zostali dłużej bardzo ciężko się było rozstać. Jedenaścioro właśnie w tym roku opuszcza szkołę i rusza w szeroki świat. Mam nadzieję. Mam nadzieję. /my/

ANTRAKT

Świecie szeroki. Przyjmij tych ludzi z otwartymi ramionami. Ciężko pracowali przez długie cztery lata. Cztery lata, które teraz wydają się zbyt krótkie, jakby zaledwie mgnieniem były. Bo jeszcze tyle można by zrobić, bo jeszcze tyle trzeba się nauczyć, bo... tak trudno się rozstać i tak po prostu odejść stąd w już swoją, tylko swoją stronę. Może za jakiś czas przyjadą tu znowu, żeby spotkać się i wspominać. Tak jak dziś ich starsi koledzy. Zaprawieni w artystycznych bojach, rozrzucony tu to tam przyjechali, by jak kiedyś pobyc w tych murach, odwiedzić swoje dawne garderoby,

pooddychać tym teatralnym kurzem, którego zapach poznali właśnie tu. Świecie szeroki. Pośród krętych dróg aktorskiej kariery miej dla nich te najprostsze i te najbardziej kolorowe. Nie pozwól umrzeć pasji, którą z sobą niosą. Zapal nad nimi słońce powodzenia, które pozwoli im zakwitnąć. Świecie szeroki. Po latach przyprowadź ich tu w komplecie. Pozwól nam, którzyśmy TU, doczekać tej radości, by razem z nimi cieszyć się jak dziś. Do wiosny jeszcze trochę czasu. Ale niech no tylko zakwitną jabłonie... Niech no tylko zakwitną...

fol. Jacek Wester

Jacek Wester

Przypadki pewnego przypadku...

Landrynki, fuksówka i harówka

O tym, że chcę zostać aktorem, wiedziałem już jakiś czas przed maturą, ale jak to się stało, że trafiłem do tej właśnie szkoły i w tym właśnie czasie? Co spowodowało, że włączyłem się w tę „mini społeczność”, która żyje swoim rytmem i według swoich zasad? I przede wszystkim, co zdecydowało o tym, że dziś tak często mówimy – my? Przypadek. Chyba jeden z najpiękniejszych i najcenniejszych przypadków w moim życiu. Już pierwszego dnia zaczęła we mnie narastać świadomość zbliżających się zmian. Pierwszego dnia szkoły, wszyscy jak jeden mąż, stawiliśmy się w sali 240 (sali, która nie jedno „widziała” i spokojnie można ją nazwać „matką” wszelkich metamorfoz, zachodzących w adeptach sztuki aktorskiej) dla nas wtedy jeszcze zupełnie obcej. Zaczęło się. Fuksówka. Zabawa edukacyjno-zapoznawcza. Zjawisko do tej pory przeze mnie nienapotkane. Nagle ktoś mi mówi co, kiedy i w jaki sposób mam robić i to w dodatku ktoś niewiele starszy. Wiele sytuacji wydawało mi się absurdalnych, czułem, że dotyka mnie jakaś niewypowiedziana niesprawiedliwość. Po czasie zaczęło się jednak we mnie rodzić nieznane mi wcześniej uczucie dystansu do siebie, które jak się

później okazało, jest całkiem przydatne. Fuksówka, nie była jednak negatywnym zjawiskiem. Dzisiaj, kiedy ją wspominam, mam do niej spory sentyment. Uważam, że jest ona potrzebna, choćby po to, by gruntownie poznać zwyczaje panujące w teatrze. W trakcie fuksowania, spędzałem ze swoim rokiem niemalże 24 godziny na dobę. Można powiedzieć, że był to bardzo przyspieszony kurs poznania się na wzajem i trzeba to przyznać – niezawodny. To właśnie podczas fuksówki powstał nasz „hymn”, którego odśpiewanie przed każdym egzaminem stało się już Stałym rytuałem. Z różnych jednak powodów nie udało nam się przejść fuksówki w komplecie.

Z roku na rok coraz bardziej widoczne są zmiany, które w nas zachodzą. Dziewczyny przeobrażają się fizycznie w piękne kobiety. Chłopcy mężnieją nieco wolniej. Wspólna garderoba. To mógłby być temat na osobny materiał. Klimat tego miejsca, w którym spędzamy znaczną część dnia i nie raz nocy jest barometrem naszych nastrojów oraz atmosfery panującej w teatrze. To właśnie w garderobie odbywają się najpoważniejsze rozmowy. Wracając jednak do zmian. Zmieniamy się też jako ludzie. Nabieramy dystansu do siebie i



fol. Jacek Wester

do swoich słabości. Potrafimy się z siebie śmiać. Dzięki temu łatwiej znieść słowa krytyki. Ale wielu rzeczy jeszcze nie potrafimy i „chwała Bogu” bo jak mawiają nasi profesorowie: „gdyś to potrafił, to ja byłbym bezrobotny”. Pamiętam, że kiedy przyjechałem do Gdyni, byłem bardzo zagubiony, bo moje życie zmieniło się o 180 stopni. Bardzo ciężko było mi się tutaj zaaklimatyzować i otworzyć na nowych ludzi. Dzisiaj spokojnie mogę powiedzieć, że jest to mój „alter dom” i „alter rodzina”. Rodzina, która zmienia skład zdecydowanie częściej niż ta „prawdziwa”. Sporym sprawdzianem było dla mnie rozstanie po dwóch latach z trójką, bardzo bliskich mi osób, z ludźmi z którymi byliśmy (i mam nadzieję zawsze będziemy my jako rok) bardzo zżyci. W przeciwnym razie bardzo łatwo popaść w różnego rodzaju frustracje. W próżnej naturze człowieka leży pragnienie szybkiej kariery, a więc czasami wydawać się może, że dotyka „nas” niesprawiedliwość. Zadajemy sobie pytanie: co jest ze mną nie tak? Wtedy warto jak najszybciej zmienić myślenie i uciec w pracę nad sobą. Dzisiaj to wiem, ale wcześniej wcale tak nie

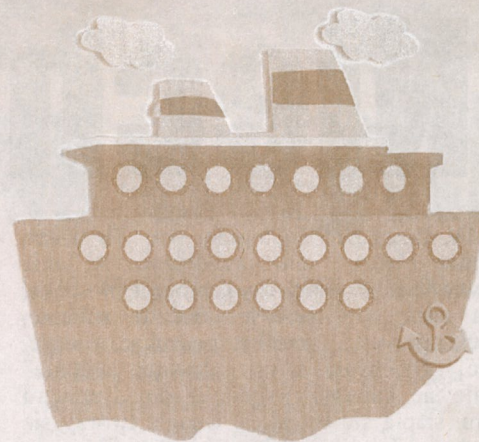
Było. (Zrobiło się „landrynkowo”, aczkolwiek to prawda, mówię to z ręką na sercu). Pomimo tego, że do końca mojej edukacji w tej szkole zostało jeszcze trochę czasu, to już dzisiaj bardzo obawiam się dnia, w którym otrzymam dyplom. Znowu pojawiają się pytania: co dalej, czy aby na pewno już mogę się nazwać aktorem?

Z ostatnim dniem tej szkoły skończy się okres przejściowy i cudowny „inkubator”, który nas chronił. Nasza enklawa, jaką jest Studium zostanie już tylko wspomnieniem. A na to, żeby tak po prostu po raz kolejny wejść do teatru „tylnym wejściem” trzeba już będzie sobie konkretnie zasłużyć... I rozpocznie się okres ciągłego udowadniania, że nie jestem tutaj „przypadkiem”..

/****/



STATEK KOMEDIANTÓW



TRZY PO TRZY ?



Zaciągnąłem się na Statek Komedianów przez radio. To znaczy z powodu radia. Takiego ze skalą przesuwaną za pomocą „galy” potencjometru. Pamiętam zielone, magiczne oko wtopione w tło wykonane z tapicerskiego materiału, który osłaniał głośnik. Lubiłem to radio i lubię radio w ogóle, zanim jeszcze w domu pojawił

się szklany ekran. Może właśnie przez to radio z większą swobodą mogę posługiwać się wyobraźnią, abstrakcją, intuicją. Na statku komedianów to nieoceniona pomoc. Nie raz się o tym przekonałem. To przez radio dowiedziałem się pierwszy raz o musicalu, który wtedy był o jakieś 40 lat młodszy. Przemawiał do mnie przebojem, piosenką i charakterystyczną barwą głosu prowadzącego - Lucjana Kydryńskiego. To właśnie jego „Rewia piosenek” poprzedzana niezmiennie tą samą solówką na trąbce „Satschmo” Louisa Armstronga ukształtowała mój muzyczny gust. Ładnych parę lat później, wiedziony intuicyjnie potrzebą rozszerzenia tych muzycznych fascynacji, odnalazłem kolejną audycję. Reżim PRL, nieoszacowany w swej hojności, podarował narodowi radiową „TRÓJKĘ”. Moi rodzice zaś wydzierając reżimowi to, co im się słusznie należało, podarowali mi nowe radio z UKF'em. Tak poznałem na antenie fantastyczne musicalowe opowieści Tomasza Raczka. Jestem pewien, że ta audycja również miała wpływ na moje późniejsze wybory. Nie trafiłem na pokład Muzycznego STATKU KOMEDIANTÓW bezwiednie. Rozglądajcie się i nasłuchujcie kandydaci na aktorów, mamy tu u siebie szkolną wersję statku komedianów. Gdyby ktoś chciał z nami popłynąć otwiera się przed nim szansa na prawdziwą przygodę. Pod jednym wszakże warunkiem. Trzeba się nieźle naszorować pokładu i parę lat polerować pokładowe mosiądze. Bo wiercie mi żaden bosman nie zalicza na przysłowiową TRÓJKĘ z plusem. Po drugiej stronie rampy siadają ludzie, którzy w mig to odkrywają. Nikogo nie interesują emocje o temperaturze stygnącej, niedoparzonej herbaty. Ilekroć podnosi się kurtyna widz na scenie całkiem dobrze zgrany monolit. I widzę też z nieukrywaną satysfakcją jak trudno jest o wyraźną linię podziału między zespołami. Ten podział na: chórzystów, tancerzy, aktorów, solistów w Gdyni już zapomniano. To ekipa w której każdy podejmuje się wielu różnych wyzwań. Choćby z racji zaliczenia 4 lat na szkolnym pokładzie. Ciężko być majtkiem! Ale warto się wspiąć po trapie Muzycznego i wejść na pokład szkolnej fregaty. SWA dawniej Studio Wokalno - Aktorskie, dziś Studium noszące to samo imię co Teatr. Jesteśmy wszędzie. To chyba najlepsze świadectwo umiejętności naszych absolwentów. Sukces warszawskiej Romy, czy wrocławskiego Capitolu nie byłby pełny gdyby nie gdyński desant. Nasi stanowią tam aż trzecią część aktorskich obsad. Nie wierzyć? Sprawdźcie. Albo taka TRÓJKA: Iza Trojanowska. Tak, tak ta sama! Film, telewizja, rock-band, Jurek Jeszke, dziś jest gwiazdą Stella Musical Company i poszukiwanym artystą po zachodniej stronie Europy, Jacek Borcuch dzisiaj reżyser filmowy wyróżniany na gdyńskim festiwalu za „Kallafior” czy „Tulipany.” Bywamy w Gliwicach, Poznaniu, Lublinie, Szczecinie czy Łodzi. Wszędzie tam gdzie muzyka umiejętnie godzi się z teatrem. Ucząc się w studio równolegle obserwujemy scenę, potem stopniowo na nią wchodzimy. Stajemy się bardziej doświadczeni, a to czasem lepszy paszport, niż niejeden dyplom akademii. Wiem co mówię. Harowaliśmy na szkolnej łajbie często po kilkanaście godzin dziennie. Dryl jak na żaglowcu! Poobijani i umordowani codzienną wspinaczką po różnych masztach, wantach, rejach i Bóg wie czym tam jeszcze. Ale wystarczyło, że proponowano rejs na statek komedianów z dorosłą załogą! To było coś! Ceniśmy naszą teatralną flotę, bo daje nam życie czasem lepiej, inaczej, weselej. A Wy zanim kolejny raz damy trzy syreny na wyjście z portu zastanówcie się czy nie warto by czasem stanąć do egzaminu w Gdyni. Tylko pamiętajcie! Na fregacie nic na TRÓJKĘ!.

Oficer Rozrywkowy Andrzej Śledź

HUMOR ZZA KULIS

Stary aktor do młodego:

- I co pan do tej pory zagrał?
- Parę ról zagrałem, między innymi Hamleta.
- A gdzie kolega grał tego Hamleta?
- W Częstochowie.
- A no tak, tam się cuda zdarzają.

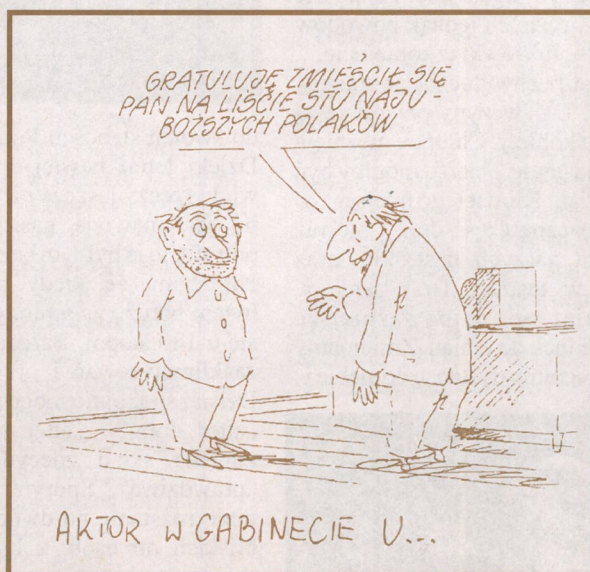
Reżyser do aktorki:

- Proszę przesunąć się bardziej w prawo, jeszcze bardziej, jeszcze, jeszcze
- Ale panie reżyserze, ja już będę za kulisami!
- No i właśnie o to chodzi.

Dyrygent do orkiestry po próbie ze śpiewaczką:

- Proszę państwa, od początku gramy o pół tonu niżej, następnie od szesnastego taktu zmieniamy tonację z dur na moll, potem cztery takty vide (skreślenie), potem cztery takty pauzy...
- Maestro, a ja? - pyta śpiewaczka.
- A u pani się nic nie zmienia.

Jeden z wybitnych polskich aktorów przedwojennych był natarczywie nagabywany przez pewną damę o rozmowę. Żeby się od niej uwolnić postanowił udawać jakaś. Jakaś się tak bardzo, że nie udało mu się wykrztusić porządnie ani jednego zdania. Dama, zdumiona, wreszcie pyta:
- Ależ mistrzu, przecież niedawno, na scenie mówił pan poprawnie!
- Ppppproszszsz ppppannni, czzczczegóż się nnnnie rrrrobi dddla ppieniędzy!



Redakcja "Antraktu" dziękuje Panu Zbigniewowi Jujce za udostępnienie rysunków

Przesłanie Premierowe Dykcjonistki

Siedzę w półmroku głuchej widowni -
Rzędy foteli szczerzą pustą treść;
Ołówka ostrzem celuję w egzemplarz:
- Jestem tu po to,
Jestem tu po to, by POMOC ci nieść! -
A ty mi mówisz,
Że ci się z dentystą
Kojarzą kontakty nasze intymne...

Ha! I dentystę
Stworzył dobry Bóg,
Byś słowa czyste, słowa wyraziste,
Jasne czy ciemne, gorące czy zimne,
Wyrzucać wdzięcznie mógł,
Za zębów swych próg!
(za zdrowych, lśniących zębów próg!)
Kiedy mamroczesz, miażdżysz samogłoski,
Gdy zaświstujesz szczelinowych szmer -
Kiedy twój Kordian, Gustaw czy Beniowski,
Mówią jak gdyby byli z niższych sfer!
(Z bardzo niskich sfer!...)
Lub upojony dźwiękiem swego głosu
Bredzisz, gdzieś gubiąc i sens i treść,
Wówczas przychodzę do twojej garderoby,
By pomoc skuteczną,

By pomoc, biedaku, ci nieść!...

I nie wyrzucisz mnie, nie trzaśniesz drzwiami,
I znosił będziesz tak długo,
Aż sama odejdę, by innych nawiedzać
Z tą swoją ostatnią... przysługą!...

Więc pomyśl ciepło właśnie wtedy,
Kiedy ci szampan uderzy do łba,
Że przy porodzie twojej wielkiej roli,
Był ktoś ze ścierką, ktoś taki jak ja,
Co ścierał, zmywał, czyścił i szorował,
Tarł aż do głębi, do czystego dna!

Nalej szampana - wypiję go z tobą -
Wszak dzień premiery dla nas świętem jest;
Ale od jutra, no, może od wtorku,
Znow zaczę wiercić, szczypać, dręczyć -
Twa dykcjonistka -
Wierna ci jak pies

Bogumiła Toczyska
1994 r.

Wiersz dedykowany Tomaszowi Steciukowi,
odtwórcy głównej roli w przedstawieniu "Cień"
w reżyserii M. Wojtyski.

